



Miasto i Gmina Polkowice
Historia i współczesność
(wspomnienia)
Zbigniew Rajche

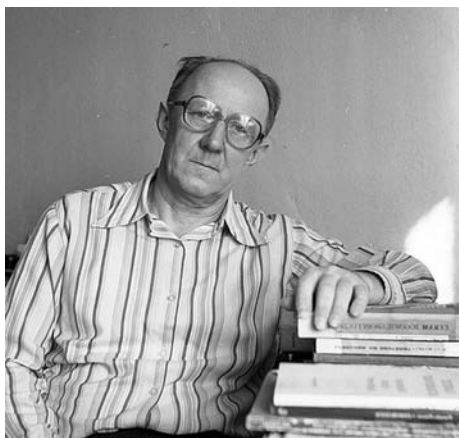


Opowieść polkowicka

na podstawie wspomnień z 1949 r.



Towarzystwo Ziemi Polkowickiej
Zielona Góra 1999 – Polkowice 2020



16 czerwca 2016 roku, w czwartek rano, po ciężkiej chorobie zmarł Zbigniew Rajche. Miałem przyjemność osobiście poznać Pana Zbigniewa w 2010 roku, będąc u niego w mieszkaniu w Zielonej Górze z kilkugodzinną wizytą. Nasza rozmowa dotyczyła przede wszystkim wspomnień związanych z Polkowicami podczas których przeglądaliśmy wiele starych zdjęć. Mam wrażenie, że się zaprzyjaźniliśmy. Od tego momentu przynajmniej raz w roku był w Polkowicach, odwiedzał swoją mamę i siostrę na cmentarzu polkowickim, następnie odwiedzał

mnie w domu, gdzie przy małej czarnej rozmowy znowu wracały do wspomnień, później odprowadzałem Pana Zbigniewa do Wojciecha Machnickiego. (Wojciech Machnicki był mężem nieżyjącej siostry Pana Zbigniewa).

Ostatnio z Panem Zbigniewem widziałem się na pogrzebie Wojciecha Machnickiego w sierpniu 2015 roku, a telefonicznie rozmawiałem z nim w kwietniu 2016 roku. Mimo wylewu trzymał się dobrze.

„Opowieść polkowicka” to jedna z pierwszych jego publikacji, ale ta dotyczy tylko Polkowic, wydana w formie maszynopisu przez samego autora w Zielonej Górze w 1999 roku w ramach działalności Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

Pan Zbigniew naszemu Towarzystwu przekazał duży zbiór negatywów zdjęć Polkowic, a Bibliotece Miejskiej w Polkowicach zbiór swoich publikacji.

Będzie go nam bardzo brakować.

Grzegorz Kardys



Zbigniew Rajche

Opowieść polkowicka
na podstawie wspomnień z 1949 r.



Towarzystwo Ziemi Polkowickiej
Zielona Góra 1999 – Polkowice 2020

Wydawca:

Towarzystwo Ziemi Polkowskiej
pod redakcją Grzegorza Kardysia

Autor:

Zbigniew Rajche

Korekta tekstu:

Anna Sadczuk

Zdjęcia:

Zbigniew Rajche, Grzegorz Kardyś,
byli mieszkańcy Polkowic

Wydawnictwo:

Drukarnia Wydawnictwo „Druk-Ar”
67-200 Głogów, ul. Mechaniczna 30
tel./fax 76 834 19 88
e-mail: glogow@druk-ar

Nakład: 300 egz.

ISBN 978-83-958039-0-1

Polkowice 2020



**GMINA
POLKOWICE**
Serce Zagłębia Miedziowego

Metropolia

Nie, nie. Nie ma się z czego śmiać. Wcale nie przesadziłem, ani tym bardziej nie zamierzam kpić z tego miasteczka. Było mi zbyt drogie, abym mógł zdobyć się na jakiegokolwiek bluźnierstwo.

Polkowice naprawdę były metropolią. Taką malutką, zamkniętą w sobie metropolią w miniaturze. A że miniaturki zawsze są ładne i wzruszające, więc takimi były też Polkowice. Polkowice mojej młodości, moja nowa Ziemia, nowa Ojczyzna, która stała mi się bliższą od tamtej dalekiej za wschodnią rubieżą. Niewiele już żyje w miasteczku ludzi, którzy pamiętają tamte Polkowice końca lat czterdziestych. Dlatego będzie właśnie o nich, tamtych Polkowicach odległych czasem, ale dla mnie zawsze bliskich i zapamiętanych.

Trzeba się spieszyć bo pamięć zawodzi, lata płyną. Wkrótce nie będzie już można skonfrontować pamięci z rzeczywistością. To tak jak z domem, w którym się kiedyś mieszkało. Dom zburzono i po iluś tam latach człowiek bije się w głowę, w którą stronę wychodziły okna pokoju stołowego? Nawet więcej, bo tak jak z człowiekiem, który umarł i nie została po nim żadna fotografia. Wnuk nigdy nie wyobrazi sobie jak wyglądał dziadek.

Najdawniejsza historia Polkowic rozpoczyna się chyba w czasach, gdy wchodziły w skład Księstwa Głogowskiego. Może to tędy właśnie niefortunny cesarz Henryk zdążył, aby zdobyć Wrocław a trafił na „Psie Pole”?

Kiedyś musiał tu być gród drewniany. Przed kilkunastu laty prowadzono jakieś wykopy przy ulicy Gdańskiej, koło kościoła katolickiego. Z wykopu wyłoniły się ogromne dębowe belki i słupy. Były bardzo stare i stwierdzono, że były resztkami częstokołu. Miałem kiedyś cienką książeczkę znalezioną na jakimś strychu. Była to skrócona kronika Polkowic, oczywiście w języku niemieckim i to gotykiem. Było tam kilka rycin. Jedna przedstawiała widok ogólny miasta z XVI wieku. Obecne śródmieście zbliżone granicami do dawnego otoczone było murem z czterema bramami.

Polkowice prawa miejskie otrzymały w 1265 roku, a więc były już miastem. Były też miastem w 1946 roku aż do połowy 1947, o czym wielu już zapomniało, bo skąd niby to szumne nadanie „Praw miejskich” przed kilku laty? Polkowicom po prostu tylko przywrócono a nie nadano prawa miejskie.

Tablica pamiątkowa z tej okazji umieszczona na ścianie ratusza po prostu fałszuje historię.

Cofnijmy się jednak o trzydzieści lat wstecz...

W Polkowicach jest wszystko, na co składa się typowe niemieckie miasto, obojętnie duży czy małe. Geometrycznie kwadratowy rynek zamknięty jest jakby zaciśniętymi w tłoku piętrowymi kamienicami. Wysokie, strome dachy z piętrowymi strychami, patrzącymi na świat półokrągłymi okienkami – kryte są poczerńiałą od starości, czerwoną kiedyś dachówką. W każdym z czterech rogów rynku rozchodzą się pod

kątem prostym po dwie wąskie uliczki z takimi samymi kamieniczkami, które po kilkudziesięciu krokach znikają, ustępując miejsca parterowym domom również pod stromymi, czerwonymi dachami. Cztery z tych uliczek na przedmieściach rozszerza się w drogi przelotowe. Od południa wpada na rynek ulica Legnicka, na północy ulica Głogowska. Jadąc na wschód można dotrzeć do wioski Tarnów i dalej do odległej o 15 kilometrów Rudnej – miasteczka bardzo podobnego do Polkowic. Drogowskazy ustawione na zachód wskazują Przemków i dalej za nią Szprotawę. Oczywiście, jak przystało na „stare miasto” w bezpośrednim sąsiedztwie rynku jest cały labirynt wąskich i krótkich uliczek i zaułków. Wszystko to jest tak zwarte i skupione, że odnosi się wrażenie, że wówczas, kiedy powstawało miasto, każdy skrawek ziemi był na wagę złota. Tak zresztą jak to bywało we wszystkich średniowiecznych miastach ściśniętych do granic możliwości miejskimi murami. Nigdzie metra wolnej przestrzeni. Podwórka, których można się raczej domyślać niż zobaczyć na tyłach domów są, mikroskopijnie małe, wciśnięte jak studnie, komórki, przybudówki i oficyny.

Wszystkie domy pomalowane są w spokojne, kiedyś pastelowe kolory, dziś już prawie szare. Nigdzie skrawka żywszej barwy. Otaczające śródmieście podmiejskie tereny mają już zupełnie inny charakter. Zabudowa luźna, dużo drzew i sadów. Każdy dom jest samą w sobie zagrodą, co świadczy o rolniczej profesji mieszkańców przedmieść. Niektóre ulice i to całkiem blisko rynku mają już zupełnie wiejski pejzaż. Duże domostwa z całym rolniczym zapleczem. Duże, murowane stodoły, chlewy i obory. Wokół każdego domostwa sad a od ulicy ogródek kwiatowy. Wybiegając z rynku ulicą Gdańską zaraz za starym cmentarzem, prawie niedostrzegalnie przechodzi w długą na dwa kilometry wieś Polkowice Dolne. W połowie wsi jest duży park ze stuletnimi drzewami, wśród których ukrywa się junkerski pałac. Jest też nieodłączny duży folwark, gdzie jak na każdy majątek przystało, jest też mała gorzelnia.

Żadne niemieckie miasteczko, nawet najmniejsze, nie może obyć się bez ratusza. Polkowicki ratusz nie jest duży, ale ma wieżę z zegarem, który wtedy jeszcze w 1946 roku chodził, a nawet wybijał godziny nowej ery miasta. Nie trzeba być wielkim znawcą sztuki, aby już na pierwszy rzut oka spostrzec, że część budynku, z którego wyrasta wieża jest o kilkaset lat starsza od okazałego gmachu dzisiejszego ratusza. Pierwotnie ratusz stanowił kiedyś ten wąski budynek z wieżą po środku. Obok ratusza – najwyższy budynek Polkowic – kościół ewangelicki. Bezstylowa budowla z XVIII wieku jest zbyt wielka w proporcji z rynkiem i okolicą. Świątynia w tej chwili jest opuszczona, a raczej nieużywana, choć wewnątrz jest wszystko, co do kultu potrzebne: ołtarz, rzeźbione ławy, organy i obrazy. Polkowicki Niemcy przestali się modlić, odkąd ich słynne z żołnierskich pasów „Gott mit uns” straciło wszelki sens w dniu, kiedy na ulicach miasteczka rozległa się obca mowa. A może ci, którzy tu zostali są katolikami? Kościół katolicki jest mniejszy, ale za to o wiele starszy.

Zbudowano go już w XV wieku w stylu gotyckim, ale obecne wnętrze jest już barokowe z XVIII wieku. Kościół ten pod wezwaniem św. Michała rozsiadł się wygodnie wsparty skarpami tuż obok rynku przy ulicy Gdańskiej.

Dlaczego ulicę biegnącą do Dolnych Polkowic nazwano Gdańską – nigdy się nie dowiedziałem? Może zamieszkał przy niej ktoś, kto przybył tu z tej nadmorskiej metropolii? Wtedy każdy mógł nazwać ulicę a nawet całą wioskę po swojemu i często tak już zostawało. Dopiero w kilka lat później „prostowano” nazwy według zapisów kronikarskich. W tych pierwszych latach niemal wszystkie okoliczne wsie nazywały się inaczej. Dzisiejszy Tarnówek nazywał się Tarnowem, Górna Sucha była Suchą Górną, Sobin nazywał się Szronowem a leżąca w połowie drogi do Głogowa Jerzmanowa była Hermanowem. Tylko Polkowice zostały sobą.

Czy dlatego, że była to stara historyczna nazwa a może brzmiała bardzo po polsku? Przed wojną dawną, historyczną nazwę Polkwitz przemianowano na Herweegen. Może specem od germanizacji w gabinecie Goebelsa stara nazwa brzmiała zbyt polsko?

Zresztą, w tym pierwszym powojennym roku każdy, kto przybył na tę Ziemię kierował się prawami pierwszeństwa, odkrywcy. Na każdym niemal domu można było zobaczyć koślawe napisy kreślone naprędce kredą „Zajęte przez Polaka”. Taki napis był tym, czym jest flaga zatknięta przez zdobywcę. Był on aktem objęcia w posiadanie, jak uderzenie szczerbca w kijowską bramę. Nikt nie ośmielił się naruszać prawa tego „Zajęte przez Polaka”. Słowa święte i historyczne jak wbijanie słupów granicznych na brzegu Odry. Nikt nawet nie dociekał autorstwa tego aktu prawnego nabazgranego kawałkiem tynku. Jakiś Polak objął w posiadanie skrawek tej nowej Ziemi i tylko to było ważne. Polak! Tu nad Odrą!



Później oczywiście weszły w użycie różne papierowe akty nadania władz nowego państwa, ale te pierwsze długo jeszcze trwały na murach kamienic i drzwiach mieszkań. Dopóki szarugi jesienne ich nie zmyły. Ale wiele z nich potwierdziły te papierowe z mocą prawa i w ten sposób ten, kto wypisał je kredą do dziś włada mieniem, które wtedy przejął, być może jeszcze z ciepłym paleniskiem poprzednich gospodarzy.

Były jeszcze inne napisy na murach zachodnich miast. Przeplatały się ze sobą, kłóciły, wyjaśniały i zaprzeczały jedno drugiem. Różnobarwne, wykonane starannie szablonem lub nachlapane pospiesznie byle jak, byle iść dalej.

„Kapituliren nicht!” a zarazem obok czerwoną farbą cyrylicą: „Śmierć niemieckim zachwaczykam!”, „Luftschuz” a koło tego „Min niet”. Dostojne, gotyckie, trwałe jak opoka czarne „Hein Hitler” częściowo zamazane wymalowaną na niebiesko śmieszna twarzą z wąsikiem i przedziałkiem nad czołem a pod nią wyjaśnienie „Ty gitler sopliwy”, czyli „Ty Hitler smarkaty”. „Rozminirowano”, „Min niet”, „Sława Stalinu”, „Na Berlin!”. „Ein Volk, Ein Reich, Ein Furer” i znów „Zajęte przez Polaka”. Wiele było takich napisów na polkowickich murach. Każdy głosił swoją prawdę. Każdy był credem czyjejs wiary, nadziei i miłości a także nienawiści. O tych pierwszych dniach mówiły więcej od złoconych, pompatycznych liter wykutych w marmurze na pamiątkowych tablicach i pomnikach, które powstawały później. Były krótkie i jakże dosadne, jakże treściwe. Jedno takie „Zajęte przez Polaka” głosiło prawdę tak oczywistą i tak prostą jak to „Min niet” o tych, którzy przeszli przez tę Ziemię jak burza, jak piorun wytyczający zygzakami swych błyskawic nowe granice państwa.

Później oczywiście spisano tomy uczonych rozpraw historycznych i filozoficznych a przecież tamte napisy mazane kredą lub farbą z puszki wyciągniętej z witryny opuszczonego sklepu załatwiały wszystko. Były to jedyne w swoim rodzaju tablice pamiątkowe, jak żadne przemawiające wprost do serc i ludzkiej wyobraźni.

Było o rynku ... Partery wszystkich niemal kamienic zajmują sklepy. Nie tylko zresztą w rynku, bo także w bocznych uliczkach. Zostały po nich szyldy nad wybitymi najczęściej witrynami. Wiadomo więc, gdzie stukali młotkami szewcy, gdzie szyli krawcy, gdzie pochylali się nad czasomierzami zegarmistrze. Gdzie można było kupić chleb i kielbasę, a gdzie „Mein Kampf”. Tych sklepików i warsztatów naliczyć można kilkadziesiąt. Szacując liczbę przedwojennych mieszkańców na jakieś trzy tysiące, to każdy sklepikarz miał po kilkunastu stałych klientów. Czy taki interes był opłacalny? Dla dzisiejszego Polaka na pewno nie...

Teraz w Polkowicach czynnych jest zaledwie kilka sklepów. Spożywczy Nowaka, restauracja Blabolego, dwie piekarnie Gauzy i braci Pieńków, rzeźnia Rożka i bardzo uboga spółdzielnia „Społem”.

W kilka lat później, kiedy liczba mieszkańców miasteczka wzrosła kilkakrotnie, tych sklepów było jeszcze mniej ...

Cóż, Polkowice były już wtedy nędzną, zapyziałą wsią...

Jak widać już po samej ilości sklepów i warsztatów, Polkowice przedwojenne musiały być miastem ruchliwym. Było też kilka restauracji i piwiarni z ładnie urządzonymi salami tanecznymi i widowiskowymi. Było też stałe kino, hotelik i strzelnica myśliwsko-sportowa z krytymi stanowiskami strzelniczymi. Był też duży tartak, roszarnia lnu i konopi i rozlewnia wina. Wydawano tygodniową gazetę

„Polkwitzer Tageblatt”. Było też w różnych punktach miasta kilkanaście warsztatów mechaniczno-samochodowych i tyleż stacji benzynowych, co może świadczyć o dużym ruchu przelotowym zwłaszcza między Wrocławiem i Głogowem i dalej do Berlina. Poza tym łączność ze światem zapewniała linia kolejowa do Rudnej Gwizdanowa, gdzie wpadała w magistralę Wrocław– Głogów i dalej.

Dziś niestety z dawnej świetności pozostały tylko nędzne ślady. Żałośnie puste witryny sklepów, zdemolowane przez szabrowników, warsztaty z nieruchomymi maszynami, puste, pachnące jeszcze benzyną pompy stacji benzynowych, puste mieszkania i całe kamienice. Po piwiarniach i salach dancingowych wiatr hula tumanami kurzu i papierów. W drukarni drzemią milczące maszyny, których nikt już nie składa w słowa, zdania i całe myśli. Na zarośniętych chwastami torach koło wymarłej stacyjki stoi porzucony wagon z powybijanymi szybami. Szeroko rozwarte wrota małej parowozowni ukazują puste wnętrza. Zardzewiałe szyny nikną w nieznaną dal pośród pól porośniętych burzanem. Już drugi rok tej ziemi nikt nie orze. W czasie działań wojennych najbardziej ucierpiał rynek. Cała północna strona straszy okopconymi ścianami do cna wypalonych kamienic. Na resztkach ścian frontowych wiszą jeszcze ogromne zegary, pod którymi były warsztaty zegarmistrzowskie. Na narożnej kamienicy nad oczodołami wypalonych okien czerni się napis „Hotel zu den drei Mohren”, czyli „Hotel pod trzema Murzynami”. W różnych punktach miasta jest jeszcze kilka dziur po pociskach artyleryjskich i posiekane do czerwonej cegły ściany domów, do których obie walczące strony prażyły z karabinów maszynowych. Jednak w samych Polkowicach większych walk nie było, bo właściwa bitwa rozegrała się o dwa kilometry na południe, pod wsią Sobin, kiedyś Szronowo, a jeszcze wcześniej Herbersdorf. Na całe kilometry rozciąga tam się ogromne pobojowisko techniki wojennej, jakby ogromna składnica złomu. Ale o niej będzie jeszcze później.

Polkowice w latach 1945-1947 były jeszcze miastem. Wiosną 1947 spotkał je los podobny do tego, jaki zgotowano wielu podobnym miasteczkom na całych Ziemiach Odzyskanych. Zabrano im prawa miejskie. Zepchnięte do roli wsi, nie będąc jednak wsiami chyliły się ku upadkowi. Wiele z nich nigdy już nie odzyskały dawnego stanu. To samo czekało Polkowice, gdyby nie miedź, której pokłady jakby uśpione przed milionami lat czekały, aby uratować miasteczko...

Na początku 1946 roku Polkowice były jeszcze słabo zaludnione. Kilkadziesiąt rodzin polskich i niewiele mniej niemieckich. Społeczeństwo polskie można z grubsza podzielić na trzy grupy etniczne. Najliczniejszą stanowili repatrianci z Bukowiny, przybyli tu już jesienią ubiegłego roku. Najwięcej było wśród nich dopiero co zdemobilizowanych żołnierzy kościuszkowskich, którzy po zdjęciu mundurów ścignęli tu rodziny. Z tym zdjęciem mundurów trochę się pospieszyłem. Byli żołnierze długo jeszcze nie mogli się z nimi rozstać.

W owych czasach do dobrego tonu należało, aby choć w niedzielę, zwłaszcza

do kościoła, włożyć przynajmniej kurtkę mundurową, ciężką od pobrzękujących medali i orderów. Na co dzień, dopóki się nie wydarły, noszono na głowach polówki. Podejrzewam, że wielu z nich jeszcze przez długie lata pieczołowicie ukrywało w szafach wypłowiałe drelichy a niejednego ubierano w nie do trumny...

Bukowiniacy stanowili zwartą, ale wcale niezamkniętą w sobie grupę. Między sobą porozumiewali się dziwnym polsko-ukraińsko-rumuńskim żargonem. Byli to jednak dobrzy Polacy, dumni ze swojej polskości. Drugą pod względem liczebności grupę stanowili poznaniacy z przygranicznych terenów Wielkopolski. Do trzeciej można zaliczyć pozostałych repatriantów zza Buga, a więc i naszą i naszą rodzinę oraz dość liczną grupę repatriantów z Francji. Były nawet dwie urodzive warszawianki Różia i Danka, które po powstaniu wywiezione na roboty do Niemiec, nie miały po co wracać do zburzonej stolicy. Potem gdzieś jednak wyjechały, tak zresztą jak większość wędrowców, którzy zatrzymywali się w miasteczku na jakiś czas, nawet trochę popracowali i potem znikali w poszukiwaniu swojego miejsca na ziemi lub po prostu docierali do swoich stron rodzinnych.

Tylko nieliczni z tamtych czasów zostali w Polkowicach na stałe, tak jak moja rodzina.

Polkowice w latach, o których piszę, były miasteczkiem dość ruchliwym, a nawet wesołym. Wszyscy się znali. Stanowiliśmy jedną rodzinę, złączeni wspólnymi losami i wspólnym życiem na nowej Ziemi. Dziwne, ale mimo tak wielkiego przemieszania ludzi o tak krańcowych różnych obyczajach i tradycjach, a nawet dialektach, nigdy nie było żadnych antagonizmów. No, może tylko poznaniacy trochę zadzierali nosa, uważając się za coś lepszego od tej całej zabużańskiej zbieraniny, ale też było to takie raczej żartobliwe, nie na poważnie. Może zbliżało nas to, że Polkowice wciąż były jakby odcięte od świata mimo szos przelotowych? Wtedy, w 1946 i 1947 roku, po zarosłych trawą szynach, nie przejechał jeszcze żaden pociąg. Do Głogowa lub Lubina wybierało się okazyjną furmanką, rowerem lub po prostu pieszo. W jeden dzień 22 kilometry tam i z powrotem!

Mieliśmy też rozrywki. Od czasu do czasu żołnierze radzieccy przyjeżdżali z kinem i wyświetlali nam filmy w salach po dawnych piwiarniach i restauracjach. Tam też z okazji różnych świąt odbywały się zabawy, na których nigdy nie było żadnych awantur. Elektrownia głogowska leżała jeszcze w gruzach, ale już od lata 1946 roku Polkowice postarały się o własne światło. Pewien domorosły mechanik z Bukowiny wstawił do szopy agregat dieslowski z dynamem i podłączył się do sieci miejskiej. Oczywiście światło było tylko na kilka wieczornych godzin i płaciło się od ilości żarówek, co zresztą było ograniczone.

Jedynym też w swoim rodzaju był sposób ogłaszania ważnych dla mieszkańców wiadomości. W magistracie pracował taki wesoły blondynek o imieniu Zygmunt. Był on urzędnikiem bez określonej funkcji, działaczem, gońcem i wszystkim po trochu.

Kiedy było coś ważnego do zakomunikowania mieszkańcom, Zygmunt wychodził na rynek i głośno trąbił w małą sygnalówkę. Kiedy zebrała się już grupa osób Zygmunt obwieszczał donośnie „Uwaga! Uwaga! Dziś o godzinie 18 w sali OM-TUR będzie wyświetlany film!”, albo „Uwaga! Uwaga! Nadeszły paczki UNRRA!, pracujący odbiorą w zakładach pracy, a dzieci w szkole u pani kierowniczkii!”. No i tak trąbiąc donośnie obchodził, co ważniejsze ulice. Mieliliśmy, więc nawet swego herolda. U schyłku lat czterdziestych Polkowice naprawdę były wesołym i sympatycznym miasteczkiem.

To wszystko napisałem znacznie później. Na razie poznawałem Polkowice takie, jakie były wiosną 1946 roku. Wtedy jeszcze nie miałem przyjaciół a nawet kolegów. Byłem sam i może dlatego moje poznawanie nowej Ziemi, było takie osobiste. Kto wie, może wtedy błędząc uliczkami wciąż jeszcze obcego miasta, zasmakowałem w samotnych wędrówkach, co pozostało mi na całe życie. Nigdy nie polubiłem zwiedzania w tłumie...

Drugi biegun

Noc jest czarna jak przysłowiowy atrament. Nurzamy się w ogromnym, wprost bezbrzeżnym kałamarniu gęstej czerności. Kierowca zgodził się przyjąć do szoferki tylko starszą panią Śniechowską. Jej córka i niestety cała nasza rodzinka tkwi unieruchomiona między bagażami w otwartej skrzyni sztudebakera.

Obok mnie siedzi babka. Opatulona w pledy i chustki przypomina rosyjską matroszkę. Zosię mama ukryła tak starannie, że nie widać nawet jej jasnej główki. Kuląc się przy tylnej burcie wozu przejmuję na siebie całą kurzawę wirów za pędzącą maszyną. Oparzone wczoraj na stacji Lipinka ramię, cholernie piecze. Mam chyba gorączkę. Jedziemy w milczeniu. Świat wokół nas jest nie tylko czarny, ale i tajemniczy. Reflektory raz po raz wyłuskują mroczne zabudowania wsi, gdzie nawet pies nie zaszczeka. Płoty, mury a potem znów długie szeregi bezlistnych jeszcze drzew przydrożnych. Przejeżdżamy przez długi most na chyba szerokiej rzece i niespodzianie wpadamy w ulice dużego, nawet oświetlonego dość rzadkimi latarniami miasta.

Później dowiedziałem się, że szeroką rzeką była Odra a miastem Nowa Sól. Długie, proste, lecz zupełnie puste ulice. Może przez tę pustkę właśnie przez mgnienie widzę dwóch wojskowych a może milicjantów, prowadzących między sobą cywila. Nienaturalnie wgięte do tyłu ręce ma chyba skute kajdankami ...

Znów ciemność. Jeszcze bardziej czarna i bezdenna. Co jakiś czas wieś. Lamy naszego wozu omiatają szare ściany domów, martwe szyby okien. Czasem jednak tu i ówdzie błyska nikielne światelko. A więc są tu jacyś ludzie. Potem znowu długo, długo nic. Tylko uciekające do tyłu szeregi drzew, tworzące długą, nikielną w dali aleję. Monotonia tego migotania działa usypiająco. Jestem jakby w półśnie. Jawa a zarazem oddalające się, nikielne uczucie zimna. Nie czuję już nawet mrowienia

w zdrętwiałej nodze. Chwilami rzeczywistość bierze górę i wtedy czuję się mały i bezbronny w tym obcym, tajemniczym świecie mroku, wichru i bezludnych wsi. Jestem zdany na łaskę i niełaskę szofera, który jak demon zła gna przed siebie tą piekielną maszyną w lodowatą czerń. A może jest demonem? Nie ma nic. Świat szczeł. Jesteśmy ostatnią garstką, ocalonych jakimś cudem ludzi. Cztery kobiety i my dwoje dzieci. Coraz bardziej podejrzewam, że to nie zwykły mistrz kierownicy siedzi za kółkiem. Władca Hadesu wie gdzie nas ku przeznaczeniu. Przez chaos tego, co było Ziemią, ludźmi, życiem. A może już nie żyjemy?

Samochód wtoczył się między kolejne zabudowania. W oknach rzadkie światełka. Zatrzymujemy się przed piętrowym budynkiem. Obok smukła wieża transformatorowa wysokiego napięcia, ale chyba jeszcze nieczynna, bo światełka w oknach są słabiotkim żółtkiem palących się świec.

Trzasnęły drzwi kabiny i kierowca zbliżył się do nas – Jesteśmy na miejscu. To już Polkowice. Możecie się wyładować. W tym domu jest PUR i Czerwony Krzyż. Nie czekając na odpowiedź odetchnął jak po spełnieniu ważnego obowiązku. Odszedł na stronę i błysnął ognikiem papierosa. W oszklonym ganku błysnęło światło, które jakby falami przywędrowało z mrocznego wnętrza. Skrzypnęły drzwi i w progu ukazał się barczysty, wąsaty mężczyzna. Mama podeszła i zaczęła nieśmiało:

– My proszę Pana do PUR-u. Skierowano nas ze Sławy. – Acha! Pani jest nauczycielką czy na pocztę? – Nauczycielka. Pani Śniechowska ma objąć pocztę – wskazała skuloną postać obok siebie.

Wspólne losy, które złączyły nas jeszcze na rampie kolejowej w Stanisławowie, przygnały aż tutaj. Stara panna była w siódmym niebie, kiedy bez żadnych podań, protekcji i łapówek mianowano ją wczoraj w Sławie Śląskiej kierowniczką poczty w jakiś Polkowicach. Nie tak bywało przed wojną...

– Panie pozwolą, że się przedstawię – wąsacz ukłonił się szarmancko – Nesfogieli jestem. Kieruję tu Czerwonym Krzyżem. Zaraz pomożemy rozładować się. Przenocujecie u nas, a rano burmistrz pomoże wam wybrać sobie jakieś domy. – Wybrać domy? – zdziwiła się babka, której wreszcie udało się wygramolić z betów. – Jest jeszcze w czym wybierać pani starsza. Całe kamienice stoją puste. Gorzej z willami, bo zajęli je już ci wcześniejsi, ale mieszkań nie brakuje. –

W kilka minut nasze rzeczy leżały już pod gankiem. Na nieśmiałą uwagę babki, że może lepiej wnieść do środka. Nesfogieli roześmiał się:

– Czego się pani obawia? Deszczu nie będzie, a złodziei u nas jeszcze nie ma. Szabrowników sami przepędziliśmy. A jaki repatriant łakomiłby się na mienie drugiego repatrianta?

W dużym pokoju na piętrze kilka łóżek. Córka gospodarza piękna, smukła blondynka z grubymi jak ramię warkoczami przyniosła nam dzbanek gorącej kawy. Bardzo się przydała na zziębnięte kości.

Mimo zmęczenia i natłoku tyłu coraz to nowych wrażeń długo nie mogłem zasnąć. W skołatanej głowie jak film przesuwiają się obrazy przeżyć ostatnich dni marca 1946 r.

Nową Polskę po raz pierwszy zobaczyliśmy na stacji w Sanoku. Od tego ranka bez przerwy byliśmy pod wrażeniem polskości. Wzruszało nas wszystko. Flagi, mundury polskie i tylko polskie napisy na stacjach a nawet rogatywki z orzełkami kolejarzy. W wagonach panuje świąteczny nastrój mimo powszednich dni. Tak bardzo spragnieni byliśmy Polski. Tyle lat czekaliśmy na możliwość jawnego manifestowania uczuć patriotycznych. Na wagonach pojawia się coraz więcej biało-czerwonych proporczyków.

Nasz transport, długi wąż czerwonych, towarowych wagonów, wolno przemierza południowe krańce województw: rzeszowskiego, krakowskiego i katowickiego. Postoje są coraz częstsze i zawsze nieoczekiwane. Nigdy nie wiadomo czy postoiemy kilka minut czy kilka godzin. Pociąg w każdej chwili może ruszyć nawet bez zwyczajowego gwizdnięcia. Dlatego ludzie nie oddalają się zbyt od wagonów. Tylko po to by nabrać wody i napędce umyć się pod strumieniem dużych pomp do pojenia parowozów.

Cały dzień stoimy na bocznych torach stacji Oświęcim. To gdzieś tu niedaleko jest ten straszny obóz koncentracyjny, o którym w czasie okupacji mówiło się szeptem. To tu wysłano księdza Przetockiego ze stanisławowskiej kolegiaty, który pierwszej wojennej wiosny przygotował mnie do Pierwszej Komunii Świętej. Wszelki ślad po nim zaginął.

Członkowie komisji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, którzy w obozie prowadzą jakieś badania, skorzystali z okazji naszego postoju i odwiedzili transport. Kilka wonnych, eleganckich pań w operetkowych mundurach, dostojni panowie. Niektórzy mówią po polsku. Dopytują o warunki podróży. Są zdumieni, że nie otrzymujemy regularnie przynajmniej trzech gorących posiłków dziennie. Dziwią się, że jedziemy towarowymi wagonami i to w takim tłoku. Coś zapisują. A my nie bardzo rozumiemy, o co im właściwie chodzi? Czym to niby mamy podróżować z całym swoim dobytkiem? Przecież chłopci wiozą cały swój sprzęt gospodarski. Nawet pługi, brony i rozebrane wozy. Salonki a nawet zwykłe pulmany nie bardzo do tego się nadają. Odczuwam dziwną przepaść między nami, okutanymi w kufajki i chusty a tymi wyelegantowanymi ludźmi. Dziwni są. Z innego, dawnego świata, o którym dawno już zapomnieliśmy. Podejrzewam nawet, że oni, choć są jakąś poważną komisją nie bardzo nawet rozumieją, co się stało w Oświęcimiu. Trzeba było tu być w kraju. Razem z nimi. A swoją drogą czy moja mama będzie znów kiedyś taką elegancką damą jak te wyperfumowane Szwajcarki? Była taką...

Któregoś dnia pociąg wtoczył się na tereny odebrane Niemcom. Mimo, że Górny Śląsk o całe niebo różni się cywilizacyjnie od naszych Kresów, a nawet

Rzeszowszczyzny – nieistniejąca już granica zaznaczyła się gwałtownie, bez żadnych łagodnych przejść. Mijamy teraz wiele wsi, gdzie wszystkie zabudowania są murowane i kryte czerwoną dachówką. Nigdy dotąd niewidziany tak zwany pruski mur zadziwia zabużańskich chłopów. Ani na lekarstwo słomianych strzech, tak bardzo charakterystycznych dla naszych stron. Miasta zwarte w zabudowie. Szare wstęgi asfaltowych szos. Strzeliste wieże gotyckich kościołów.

Wszystko to jest piękne, ale oglądane z pewnej odległości, ale kiedy pociąg zbliży się do takiego miasta z szarych wąwozów ulic wyziera prawda. Piękne domy w większości świecą oczodołami wybitych okien, przez rozwalone drzwi i bramy widać poprzewracane meble i sprzęty. Na ulicach wraki samochodów i sterty wybebeszonych bagaży a wiatr hula tumanami pierza i papierów. Wszędzie gruz, szkło i ceglany pył. Bardzo przypomina mi to stanisławowskie getto po zamordowaniu ostatniego Żyda a zanim miasto znów przyjęło w swe granice poranioną, osieroconą dzielnicę. Szylidy nad wybitymi witrynami głośzą w obcym języku sławę miejscowych kupców i rzemieślników. Nachlapane naprędce nazwy spolszczonych stacji kolejowych niezdarnie kryją czarne, gotyckie litery układające się w nazwy niemieckie. Ludzi widzi się mało. Giną wprost w pustyniach gmachów, ulic i placów. Intryguje nas widok ludzi z białymi opaskami na ramieniu. Takie nosili u nas w czasie okupacji Żydzi, tylko była jeszcze niebieska gwiazda. Na jakiejś stacji dowiadujemy się od kolejarzy, że to cywilni Niemcy. W odwet za oznaczenie w ten sposób innych narodowości a zwłaszcza Żydów i na dowód pełnej kapitulacji – teraz oni mają obowiązek noszenia białych opasek. W różnych, mijanych miastach tak oznaczone grupy pracują przy sprzątaniu ulic. Pilnują ich uzbrojeni ludzie z opaskami biało-czerwonymi. Widuje się też całkiem czerwone. Jakaś dziwna moda noszenia opasek w tej nowej Polsce...

Mijane stacje najczęściej świecą pustkami. Widuje się tylko kolejarzy. Bardzo mało podróżnych, bez których ogromne dworce, poczekalnie, kasy i kryte perony tracą jakby swój sens istnienia. Nad kominami fabryk nie unosi się dym.

Niesamowity, zamarły świat... Odnosi się wrażenie, że te gruzy kamienic i całych miast dopiero wczoraj przestały dymić, że w powietrzu nie przebrzmiało jeszcze echo walących się ścian i trzask płomieni.

Ludzi w wagonach zaczyna ogarniać nastrój ponurej rezygnacji. Są oszołomieni bogactwem tej ziemi i porażeni ogromem zniszczeń. Jak żyć w tej kamiennej pustyni?

Po niemal całym tygodniu podróży przez Polskę dotarliśmy do jego kresu. Pociąg zatrzymał się ostatecznie na małej stacyjce Lipinka koło Sławy Śląskiej w powiecie głogowskim. Jeszcze w tym samym dniu wszystkich chłopów bardzo sprawnie rozwieziono do okolicznych wsi, gdzie natychmiast otrzymali gospodarstwa, o jakich nawet w marzeniach im się nie śniło.

Na pustym peronie koło rampy zostało kilka rodzin mieszczańskich, które

podobnie jak my przyplątały się do tego „chłopskiego” transportu. Wyjazd nasz, kilkakrotnie odraczany przez niezdecydowanie babki, która czekała cudu, czyli zmiany granic powojennej Polski, był poważnie opóźniony. Nie można już było zwlekać, bo karta ewakuacyjna traciła ważność. Mama więc zdecydowała się na kolejny transport, którym okazał się właśnie ten chłopski.

Błąd ten mścił się na całej naszej rodzinie niemal przez całe życie. Transporty „miejskie” kierowano do miast takich jak Opole, Legnica, Wrocław. Zwłaszcza Opole stało się drugim Stanisławowem na Nowej Ziemi.

No i teraz na tym pustym peronie małej stacyjki nie bardzo wiemy, co ze sobą zrobić. Kobiety są bezradne a ja, choć piętnastoletni „mężczyzna” nie nadaję się jeszcze do podejmowania ważnych, życiowych decyzji.

Pierwszą noc spędziliśmy na rampie w otoczeniu naszych bagaży. Aby się rozgrzać rozpaliliśmy na peronie małe ognisko. Marcowe noce, nawet tu, na Zachodzie są chłodne. Dobrze, że choć nie padało.

Ognisko to pozostawiło mi trwałą i niestety bardzo bolesną pamiątkę, tej pierwszej, spędzonej na twardej, podobno już polskiej ziemi. Spałem tak mocno, że nie czułem, kiedy zapalił się rękaw mojej kufajki, potem niemieckiego munduru, który pod nią nosiłem i koszuli. Ktoś poczuł swąd i obudził mnie wielkim krzykiem i tarposzeniem.

Przez długie tygodnie leczyłem potem rozległą ranę na lewym przedramieniu, po której na zawsze już pozostała duża blizna.

Nazajutrz mama i jeszcze kilka osób zdecydowało się przejść pieszo torami do odległej o kilka kilometrów Sławy Śląskiej. Kogoś tam poruszono, bo jeszcze tego samego dnia przewieziono nas samochodem do miasta. Umieszczono nas na razie w punkcie Czerwonego Krzyża. Tam stara Niemka, chyba gospodyni domu, zajęła się troskliwie moją nieszczęsną ręką. Przyłożyła jakieś maści i obandażowała. Potem dla wszystkich przygotowała wspaniałą, gorącą kąpiel. Po przeszło tygodniowym „myciu się” pod kolejowymi pompami była dla nas dobrodziejstwem chyba największym i najbardziej zapamiętanym.

Ta staruszka o dobrotliwych oczach była pierwszą osobą cywilną narodowości niemieckiej, jaką spotkałem od czasów wojny. Czyżby byli i tacy Niemcy?

Mama załatwiła od ręki w Inspektoracie szkolnym przydział na kierowniczkę szkoły podstawowej w małym miasteczku Polkowice.

Był to dalszy ciąg błędu popełnionego w Stanisławowie. Można było jeszcze wtedy w Sławie starać się o wyjazd do większego miasta. Na nauczycieli wszędzie czekały wolne posady.

A może mama obawiała się większego miasta? Zawsze przecież uczyła na wsi i to w tak zapadłych wsiach jak Suwalszczyzna...

Późnym wieczorem opuściliśmy Sławę. W owym czasie było to miasteczko bardzo ruchliwe. Miały tu swoje siedziby urzędy władz powiatowych niedalekiego pogorzelska,

jakim był wtedy Głogów. Podobno kiedyś piękne, no i dla nas Polaków historyczne miasto.

No i oto jesteśmy w tych Polkowicach. Na losy ludzkie składa się cały szereg zupełnie nieprawdopodobnych i zupełnie nieprzewidywalnych przypadków.

Nowy dom

Mój nowy dom na Nowej Ziemi to jednopiętrowa kamienica na rogu ulicy Pocztowej, na przeciw długiego, przysadzistego, parterowego budynku, gdzie nie tak dawno mieściła się restauracja z piwiarnią i kręgielnią. Na wprost naszych okien czerni się gotycki napis „Gasthoff”. Niemieccy smakosze piwa pijali je dobrze schłodzone, bo obok budynku czerni się otwór do bardzo głębokiego bunkra, gdzie przez cały rok przechowywano tafle lodu. Zostały jeszcze na samym dnie resztki trocin, którymi był przesypany. Cóż, chłodziarek wtedy jeszcze nie było.



Kamienica jak wszystkie w okolicy Rynku jest szara, wąska i ma nieproporcjonalnie wysoki dach z czerwonej, ale dobrze już poczerniałej ze starości dachówki. Z tyłu domu jest mikroskopijne podwórko, wciśnięte między mury. Jest tam kilka komórek na drewno opałowe i węgiel i tyleż samo ubikacji. Niestety w domu ich nie ma, podobnie jak i łazienek. A więc będziemy się załatwiali na dworze a myli w miednicach, czyli, że pod tym względem będzie tak samo jak w dalekim Stanisławowie. Nie ma też instalacji wodociągowej,

choć są w mieszkaniu zlewy, zapewne podłączone do kanalizacji burzowej, biegnącej pod ulicami, ale tylko w okolicach Rynku. Tyle zdołałem się dowiedzieć już w pierwszym dniu. Pod domem jest duża, zagracona piwnica a pod wysokim dachem aż dwie kondygnacje strychu z labiryntem komórek i dwoma małymi pokojkami mieszkalnymi. Wszystko to przepelnione jest meblami. Sądząc po stylu, bierano je przez kilka pokoleń.

Niemcy to naród oszczędny, niczego nie wyrzucają. W tych szafach, na półkach i w szufladach masa nieznanych jeszcze bibelotów i gratów, kiedyś tu wyniesionych i tak już zostały.

Jako dziwnie przytłacza nas ten dom. Niby obszerny a zarazem jakoś ciasny. Małe podwóreczko bez żdźbła zieleni, ponure, zagracone i mroczne pokoje, ciasna klatka schodowa. Najbardziej boleje babka. Po swoim jasnym, pełnym powietrza domu z ogrodem i sadem na przedmieściu Stanisławowa jest bardzo przygnębiona.

Protokoł zdawczo - odbiorczy					
spisany dnia 1 sierpnia 1946 r. w kancelarii Delegatury Obwodowej Urzedu Likwidacyjnego w Polkowicach, spowodu przekazania przez Komisje Ochrony Mienia Poniemieckiego pod dozór Obywatelce Raiche Marii zam. w Polkowicach ul. Pocztowa nr. 4 następujących ruchomości: (po Niemcu Dehmel Friedrich ul. Poczt. 2					
L.p.	Nazwa przedmiotu	O p i s	Stan	Ilość	U w a g
1	Szafa ubraniowa 3-drzw.	zołta sosna	sredni	1	
2	dtto 2-	ciemna "	zły	1	
3	Umywalka z lustrem	zołta "	"	1	(uszkodz
4	Stoł pokojowy	ciemny "	sredni	1	
5	Krzesła zwykłe	" "	"	4	
6	Stoł kuchenny	seledyniowy sosn.	"	1	
7	Kredens "	" "	"	1	
8	Krzesła kuchenne	białe sosna	"	4	
9	Tartka do kartoffli korbelkowa		"	1	
10	Szczotka do podłogi z oprawa		"	1	
11	Łozko bez materacy	zołte sosna	dobry	1	
12	Wanny do prania	emaliowane	sredni	2	
15	Garki kuchenne rozne	"	"	19	
16	Talercze płytkie i głębokie	porcelanowe	"	6	
17	Czerpaczki kuchen. i młynek do kawy		"	4	
18	termos poilitrowy	zwykły	zły	1	(uszkodz.)

Protokoł niniejszy sporządzono w 2-ach równobrzmiących egzemplarzach.

Wymienione w powyższym wykazie przedmioty przyjął pod dozór z odpowiedzialnością za ich stan:

Ob.
(p o d p i s)

Członkowie Komisji
Ochrony Mienia Poniemieckiego
jako zdający
Trzmielewski Józef
Klaub Luwik
Zelek Wincenty

Co robić? Wille i mniejsze, jednorodzinne domy są już zajęte przez wcześniejszych repatriantów, zwłaszcza tych z Bukowiny. Przybywali tu już latem ubiegłego roku, wkrótce po przejściu frontu. I w tym wypadku mści się na nas to ciągle odwleknięcie wyjazdu. Burmistrz obiecał mamie, że to na razie. Potem znajdzie się coś lepszego, po Niemcach, których jest tu jeszcze trochę, ale na jesieni mają wyjechać do Niemiec. Wszystkie mieszkania w naszej kamienicy są w zasadzie jako tako umeblowane. Trzeba tylko to i owo przestawić, przenieść według własnych gustów. Zajęliśmy dla siebie cały parter, czyli trzy pokoje z kuchnią. Śniechowska ulokowała się na razie na piętrze w dwóch pokojach. Mogłaby mieć dla siebie całą kamienicę poczty, przez ścianę z naszą, ale boi się mieszkać sama ze starą matką w takim dużym, pustym domu. Przeniesie się tam jednak już jesienią, kiedy będzie miała pomoc listonosza. Jedno trzypokojowe mieszkanie na piętrze jest wolne. Właściwie to wolałbym mieszkać w nim. Jest obszerniejsze i bardziej widne. Nasze okna mają przed sobą ścianę kamienicy po drugiej stronie wąskiej ulicy. No i ten Gasthoff. Babka nigdy nie mieszkała na piętrze, więc zdecydowała jej opinia.

Po byłych gospodarzach odziedziczyliśmy nie tylko umeblowane mieszkania. Wszędzie jest zatrzęsienie wszelkiego rodzaju sprzętu gospodarstwa domowego a nawet obrazy i portrety przodków na ścianach. Jest też sporo śmieci i rozbitego szkła. To już sprawka późniejszych szabrowników. W piwnicy na długich półkach połyskują chyba setki słoików z kompotami. Mają szklane pokrywki, które przytrzymuje gumka uniemożliwiająca otwarcie. Cóż nigdy jeszcze nie widzieliśmy słoików wecka, to też pierwsze próby otwarcia ich były bardzo niefortunne. Pokrywki po prostu pękały... W słoikach są różne kompoty, najwięcej z agrestu i jabłek. Zupełnie bez cukru. Niemcy w ostatnich latach wojny też nie mieli go pod dostatkiem.

Po długich wahaniach, nie mówiąc nic nikomu postanowiłem zaryzykować. Osłodziłem jeden z kompotów i wypilem. Jakiś czas odczekałem. Ludzie mówili, że Niemcy często specjalnie zostawiali zatrutą żywność. Nic mi się nie stało, ale dopiero nazajutrz przyznałem się rodzinie o swoich „doświadczeniach”. Potem chyba przez cały rok wypijaliśmy te kompoty przygotowane przez zapobiegliwą, niemiecką gospodynię jeszcze jesienią 1944 roku.

Czym zajmowali się poprzedni gospodarze? W mieszkaniu nie ma niczego charakterystycznego, co mogłoby wskazywać na zawód. Wiemy tylko, że nazywał się Friedrich Dehmel ale to wszystko. Niemal w jednym dniu byliśmy już zagospodarowani. No cóż, nasze mienie zostało w Stanisławowie. Nie zabraliśmy nawet dziesiątej części rzeczy, nie mówiąc o meblach. Obok domu, zaraz za Gasthoffem jest mały park z trzema zapuszczonymi stawami, kiedyś zapewne hodowlanymi. Między starymi drzewami bieli się okazały, piętrowy budynek, jak wszystkie wokół z wysokim, czerwonym dachem. Nad głównym wejściem duży, niedbale zachlapany wapnem czarny napis „Ev Schulhaus”. Tam też mama skierowała pierwsze kroki,



jeszcze zanim dobrze rozejrzała się po naszej kamienicy. Na placu przed szkołą wysoki maszt w czarno-białe, wijące się wstęgami pasy, na który nie tak dawno jeszcze w uroczyste dni państwowych świąt wciągano hitlerowską flagę. Chyba nigdy jeszcze nie powiewała na nim biało-czerwona...

Na skraju parku w lewo od szkoły wysoki obelisk z granitowymi, czarnymi tablicami, na których złożonymi literami wypisano nazwiska mieszkańców Polkwitz poległych w latach wojny 1914-1918.

(Poprawka G.Kardysia: W tym miejscu jest błąd autora, ponieważ był to pomnik poległych w kampaniach wojennych 1866 i 1870/71. W części środkowej pomnika wmurowane były cztery tablice z czarnego granitu szwedzkiego. Przednia tablica zawierała sentencję „Gorące pragnienie naszych ojców, Jedność Niemiec została wywalczona, Bracia nasi z radością Ponieśli śmierć za Rzeszę! Niechaj wnukowie usilnie walczą o zachowanie tego, co zdobyte”. Na tablicy tylnej wymienieni byli polegli w 1866 mieszkańcy z Polkowic, Suchej Górnej, Kaźmierzowa i Guzic. Po lewej stronie tablica z polegli w latach 1870/71 mieszkańcy z Polkowic i Polkowic Dolnych. Na tablicy po prawej stronie polegli w latach 1870/71 mieszkańcy Suchej Górnej, Moskorzyna i Guzic. Obelisk przyozdobiony u podstawy złotymi liśćmi palmowymi ma w środku wiernie oddany



Krzyż Żelazny ze srebrnymi krawędziami. Cały pomnik zwieńczony jest odlanym z żelaza i pomalowanym na czarno orłem z połączoną koroną, dziobem i szponami) Jakby u stóp tego pomnika chwały żołnierza niemieckiego w stronę ulicy Bieruta – mały ogrodzony płotkiem cmentarzyk z równymi szeregami białych obelisków uwieńczonych czerwoną gwiazdą. To ci, którzy rok temu padli przy zdobywaniu miasteczka i okolicznych wiosek. Dziwne sąsiedztwo...

Drugi pomnik przedstawiający nadnaturalną postać żołnierza niemieckiego



w głębokim hełmie z karabinem u nogi, jakby stojący na warcie na wysokim cokole stał kiedyś po prawej stronie szkoły nad jednym ze stawów. Stał, bo teraz leży obalony, niemal zanurzony w wodzie. Trzeba było zapewne użyć czołgu lub bardzo silnego ciągnika do obalenia tej postaci odlanej w betonie. Na ocalałym cokole też daty 1914-1918 i czarny napis „Unseren Gefallenen Helden”.

(Poprawka G.Kardysia: „Naszym poległym bohaterem”, pomnik, poświęcony żołnierzom pochodzącym z Polkowic, którzy zginęli na frontach pierwszej wojny światowej.)

Aż dwa pomniki poświęcone tym samym bohaterom w jednym miasteczku. Jak się potem przekonałem, prawie każda, większa wieś w ten sposób upamiętniała swoich poległych mieszkańców w wielkiej wojnie. Bardzo piękny i godny naśladowania obyczaj.

Wszystkie stawy połączone są między sobą słuzami, co znaczy, że były kiedyś zarybione. Teraz służą za... wysypisko śmieci, zwożonych tu z całego miasteczka. Gdzie wywozili je poprzedni mieszkańcy Polkowic? Teraz każdy repatriant zasiedlający mieszkanie lub obejście w najbliższym sąsiedztwie pozbywa się niepotrzebnych mu rupieci, skrętnie gromadzonych przez pokolenia poprzednich gospodarzy. Więc i posąg niemieckiego żołnierza potraktowano jak takie, nikomu już nie potrzebne śmieci...

Cóż, ileż to naszych, polskich pomników przez kilka lat wojny obalano i bezczeszczono w ten sposób?

Kto mieczem wojuje...

Szkoła jest już czynna. Na początku roku magistrat nie mogąc się doczekać prawdziwego nauczyciela, rozpoczął nauczanie dziatwy na własną rękę. Nauczania garstki dzieci o ogromnej rozpiętości wieku podjęły się dwie panienki. Danusia Sęda – jedna z warszawianek, które wracając z przymusowych robót w Niemczech, utknęły tu na jakiś czas, gdy dowiedziały się, że nie mają, do czego wracać w Warszawie. Drugą była Wilhelmina Szwarz, podobno autochtonka z tych stron, ale nie z samych Polkowic.

Niestety, panienki poza dobrymi chęciami i być może ambicjami zostania nauczycielkami – nigdy nie miały nic wspólnego z tym zawodem. Utworzyły jedną klasę i na zmianę uczyły pisania i czytania. Mama została pierwszą w historii Polkowic, polską mianowaną kierowniczką szkoły. Urzędowanie objęła natychmiast. Dziewczęta jakby tylko na to czekały, bo od razu się ulotniły. Nie mierzyły

sił na zamiary... Mama została więc sama. Znow jak przed laty na zapadłej wsi suwalskiej była taką samą „Siłaczką”.

Brakowało wszystkiego: książek, zeszytów i ołówków. Nawet kredy nie było. Ale były dzieci! I to było najważniejsze! Mogła uczyć! Po sześciu latach pedagogicznej bezczynności znow była w swoim żywiole. Mało obchodzi ją teraz dom, meble, ubranie a nawet własne dzieci. Była nauczycielką!

Domem zajęła się babka.

Powrót...?

Przez pierwsze tygodnie i miesiące obijałem się po miasteczku i okolicy. Co miałem innego do roboty?

Szkoła, z jedną nauczycielką w osobie mojej mamy, nie miała mi nic do zaoferowania. Podstawówkę skończyłem rok temu w Stanisławowie, a na szkołę średnią w Polkowicach trzeba jeszcze poczekać wiele lat. Do żadnej pracy też się nie garnałem. Nie miałem jeszcze dostatecznego rozeznania. Wędrowałem więc samotnie i odkrywałem swój nowy świat.

A było co odkrywać...

Już podczas pierwszych wędrówek zaczęły ogarniać mnie dziwne, podniecające uczucia. Znane są one każdemu odkrywcy czegoś nowego i nieznanego.

Zaglądałem do opuszczonych domów i mieszkań, grzebałem w stosach zwalonych w nieładzie książek i czasopism, chaosie papierów, albumów i bibelotów.

Penetrowanie opuszczonego domu, opuszczonego w pośpiechu, ma w sobie coś z pasji odkrywcy. Takie mieszkanie jest księgą, w której wyczytać można wiele o życiu, zwyczajach i zainteresowaniach a nawet charakterach ludzi, którzy tu mieszkali i z tego wszystkiego korzystali. Czytałem tę księgę łapczywie. Grzebiąc w szufladach i na półkach w czeluściach starych szaf wybebeszonych już przez wszędobylskich szabrowników, brodząc po strychach i piwnicach odgadywałem życie nieznanymi mi ludzi.

Wkrótce wiedziałem już, gdzie mieszkał filatelista, gdzie miłośnik poezji lub muzyki, gdzie inteligent a gdzie robotnik lub rzemieślnik. Wkrótce bez wahania odróżniałem mieszkanie typowego mieszczucha wychowanego w narodowej dyscyplinie, lecz bez wyraźnego politycznego zaangażowania od domu zagorzałego hitlerowca.

Nigdy nie poznawszy tych ludzi, chyba tylko ze znalezionych fotografii i dokumentów – znałem ich. Stawali mi się coraz bardziej znajomi i... zrozumieli.

To były wspaniałe uczucia! Jakie zapewne towarzyszyły odkrywcom opuszczonych przed tysiącami lat i zapomnianych miast i świątyń ukrytych w niedostępnych dżunglach. Ci odkrywcy i badacze także czytają ze szczątków i skorup, napisów i niezrozumiałych symboli.

Co to za przeżycie wejść do takiego opuszczonego domu, pałacu junkierskiego lub dudniącego echem pustego kościoła. Chodziłem po pokojach, które zachowały jeszcze pozory zamieszkania w nienaruszonych meblach i wiszących na ścianach portretach, firankach i żałośnie wyschniętych kwiatach w doniczkach umarłych już rok temu. Każde z tych mieszkań zachowało nawet swój specyficzny, niepowtarzalny jak odcisk palca zapach.

Określenie „Dziki Zachód”, jakim w tak zwanej Centralnej Polsce obdarowano dopiero, co odzyskane a może raczej zdobyte lub otrzymane Ziemie wcale nie było przesadą. On naprawdę był dziki a więc i tajemniczy.

Opuszczone domy i całe ulice wsi, puste obory i stajnie, pola zarośnięte dzikim burzanem. Tu i ówdzie stojące jeszcze ogromne stogi szerniałej słomy. Diczające sady przy pustych zagrodach, kwitnące nie wiadomo dla kogo. Wszędzie niepodzielnie panujące stada myszy i hordy dzikich królików. Zastygłe linie elektryczne, w których od kilkunastu miesięcy nie poruszył się ani jeden elektron.

Ale dzikość ta ma swoisty charakter. Nie ma w niej nic z tajemniczości dziewiczych lasów i stepów nietkniętych cywilizacją. Wprost przeciwnie. Dzikość naszego Zachodu to obraz zdziczałej cywilizacji właśnie. Zatrzymanej nagle potężnej maszyny i pozostawionej swemu losowi. Była to dzikość kontrastów. Zarastające wspaniałe parki otaczające pałace. Na kamiennych i marmurowych tarasach, schodach i balustradach rozwija się świeże, zielone runo traw i pnączy. Betonowe i asfaltowe szosy, po których tygodniami nie przejdzie nawet piechur. Obok nich w rowach i na poboczach jakby przed chwilą opuszczone samochody z gołymi felgami kół, bo opony ktoś już zdjął na zelówki do butów. Tu i tam wypalony lub tylko porzucony czołg. Jakieś działo a tuż obok całkiem pokojowe wyrócone żałośnie puste wózki dziecięce. Rozwalone walizy, garnki i zabawki, które porzucono w ucieczce ratując to, co najważniejsze – życie. W miasteczkach siejące pustką, ale pachnące jeszcze smarami warsztaty i kuźnie. Porastające już trawą tory kolejowe biegnące nie wiadomo skąd i dokąd.

Na polach maszyny rolnicze a przy drogach stacje benzynowe niemające co i dla kogo pompować. Milczące, ale groźne trupimi czaszkami transformatory wysokiego napięcia z pajęczyną zimnych przewodów.

Tuż przy wjeździe do Polkowic od strony Głogowa obok nieczynnego, dużego tartaku stoi wielkokalibrowe działo przeciwlotnicze. Jest w takim stanie, że można by z niego wystrzelić, gdyby były pociski. W każdym razie można bez obawy usiąść na żelaznym siodelku i kręcąc różnymi dźwigniami podnosić i opuszczać lufę lub kręcić się z całym działem w kółko. Wspaniała zabawa dla mniejszych dzieci, ale ja też lubiłem sobie pojeździć...

Co jeszcze bardzo w tym dziwnym świecie od razu rzuca się w oczy, to rażący brak ludzi. Wystarczy odejść kilometr od miasta, aby doznać niesamowitego uczucia osamotnienia. „Świątynie bez boga”.

Podczas tych odkrywczych wędrówek poza radością odkrywcy zrodziło się we mnie jeszcze inne dziwne uczucie. Rosło ono we mnie w miarę poznawania tajemnic życia mieszkańców tej ziemi.

W zasadzie dotąd znałem tylko Niemców w mundurach. Tylko takich widywałem na tym strasznym cmentarzu żydowskim w Stanisławowie, o sto metrów od mojego domu, gdzie w ciągu trzech lat zamordowali ponad sto tysięcy ludzi. Oczyma dziecka, początkowo przerażonego a potem – jak to z dziećmi bywa – zaciekawionego, widziałem te wszystkie egzekucje. Trup na ulicy to była dla mnie codzienność. Na tym cmentarzu widywałem tylko takich „pracujących” tam Niemców. Widziałem też spokojnych, zmęczonych wojną żołnierzy Wehrmachtu, ale oni też byli w mundurach. Nawet jeńcy niemieccy, z którymi przez kilka miesięcy pracowałem, też mieli mundury. Mocno podniszczone, ale jednak wciąż były to mundury w tym znienawidzonym przez wszystkich kolorze. Teraz po tamtych wszystkich zostały już tylko wspomnienia. Złe, straszne wspomnienia, które długo będą jeszcze mnie męczyć w ciężkich snach. Po tamtych Niemcach i tam i tu zostały tylko stosy ich porzuconej broni na polach i drogach.

Dopiero tu, teraz, zetknąłem się z innymi Niemcami. Oni nie noszą mundurów, nikogo nie zabijają, nie wyrzaskują swojego straszliwego „loos” i „schnell”!

Są dziwni przez swoją zwyczajność. Po prostu ludzie, normalni. Nawet biedni i teraz nieszczęśliwi ludzie. Ot, choćby ten staruszek z naprzeciwka. Mieszka w ubogim, chylącym się ze starości domku, z równie starą żoną. Zawsze tak grzecznie i dobrotliwie uśmiecha się do każdego. Nawet przede mną smarkaczem uchyla czapki. Drugi nasz sąsiad, z drugiej strony ulicy, kulawy krawiec, żyjący samotnie, zawsze taki nieśmiały i zaaferowany. Młody stolarz Johan ożeniony z Holenderką, ma małe dziecko. Pilnie uczy się polskiego. Podobno jest komunistą i stara się o przyjęcie do PPR. Są i inni. Młodzi, starsi, moi rówieśnicy. Staram się wyobrazić ich sobie w roli tamtych na cmentarzu... Nie wychodzi. Widzę w nich po prostu tylko ludzi. Zwyczajnych, mówiących tylko innym językiem. No i te białe opaski, które muszą nosić z nakazu władz, kierujących się niską zemstą za opaski Żydów i to „P” odróżniające Polaków na robotach w Niemczech. Tylko te opaski ich różnią. Ale mnie zaniepokoiła nie tylko ta konfrontacja z żywymi, ale innymi Niemcami. Było coś jeszcze. Bardzo dziwne uczucie.

Każdy Polak, który przybył na tę Ziemię, zwłaszcza z Kresów Wschodnich, jeszcze bardzo długo czuł się tu straszliwie obco. Niektórym pozostało to na zawsze. Ot, choćby moja babka, która duchem nigdy nie opuściła Stanisławowa. Dla tych ludzi obce tu było wszystko, architektura miast, układ przestrzenny ulic, urządzenia mieszkań a nawet wnętrza kościołów. Wszystko wydawało się wrogie i nieznanne. Obcość tę potęgowała jeszcze dzikość opuszczonej, ale wspaniałej w porównaniu z naszymi Kresami – cywilizacji, z którą zetkną się po raz pierwszy któregoś dnia wyrzuceni z wagonu, ostatniego łącznika z ich Wołyniem albo Podolem.

Takich uczuć doznawali wszyscy normalni Polacy, którym przyszło żyć na nowej Ziemi. Ze mną natomiast zaczęło dziać się coś wręcz przeciwnego. Już w pierwszych dniach czułem się tu dziwnie swojsko. Tak jakbym wiedział co tu zastanę...

Tak, jakbym nie przybył w obce i nieznane strony, ale wracał z długiej, bardzo długiej tułaczki na krańcach obcego świata. Innym słowy wróciłem jakby w oczyste progi...

To było niesamowite uczucie, ale naprawdę odnosiłem wrażenie, że kiedyś, bardzo dawno temu, może jeszcze przed narodzeniem mego bytu, byłem tu, widziałem i znałem to wszystko. Deja vu?! Jeżeli przyjąć teorię o inkarnacji, czyli wędrówkę dusz przez pokolenia to... żyłem tu w którymś z poprzednich wcieleń.

Jak się potem przekonałem, wrażenia te odnosiły się nie tylko do małych Polkowic. Kiedy odwiedzałem i inne miejsca na Ziemiach Zachodnich to odkryłem, że uczucie swojskości dotyczy i innych miejsc. Nawet poza Dolnym Śląskiem. Obejmowało ono całe Ziemie Odzyskane a więc również Pomorze i Prusy Wschodnie. Co to znaczy? Skąd te wrażenia? Dlaczego tą swojskość zaczynałem odczuwać natychmiast po przekroczeniu dawnej granicy polsko-niemieckiej jadąc ze wschodu? Dlaczego traciłem ją, jeżeli pociąg jadąc w przeciwnym kierunku opuszczał tę Ziemię? Sprawa była zadziwiająco prosta. Czułem się dobrze wszędzie tam, gdzie żyli kiedyś Niemcy. Cała Ziemia, będąca przez stulecia pod panowaniem niemieckim, była dla mnie swojska. Swojska i tak bardzo bliska jak żadna dotąd. Chyba nawet ukochany Stanisławów spadł na plan dalszy...

A więc? Skąd te wrażenia? Dlaczego?!

Po tysiącokroć zadawałem sobie to pytanie i nie znajdowałem odpowiedzi.

Czy naprawdę jej nie było?

Może odpowiedź była gotowa? Może wystarczyło te strzępki myśli, miotania z wieloma pytaniami, wzruszenia i doznania ułożyć w logiczną całość i jak wyznania prawdy wykrzyknąć na cały głos? Może trzeba było pochylić głowę w pokorze przed tym głosem we mnie i nazwać go po imieniu? Zew Krwi?! Ten, który nie obudził się w moim Ojcu, kiedy miał wybierać między powrotem „na łono przodków” a śmiercią? Szukałem dalej. Wciąż szukałem. Nie mogło mi jednak przejść przez gardło wyznanie tej jedynej już chyba prawdy. Szukałem i niemal ku swemu przerażeniu doznałem coraz większej rozkoszy w poznawaniu zwyczajnych Niemców. Tak jakbym starał się odrobić czas. Czułem się jak człowiek stojący nad przepaścią. Nie, że następny krok to śmierć, ale bardzo chcę ten krok zrobić. Przepaść, w której jest pewna śmierć – przyciąga ze straszliwą siłą, nie można jej się oprzeć, ona jest silniejsza od strachu, od pewności śmierci. Musi skoczyć...

Dalej więc poznawałem życie dawnych mieszkańców Polkowic. Ogarniała mnie radość. Doznania i namiętności tych ludzi niczym nie różniły się od doznań innych narodowości. Obalałem jedną po drugiej bariery, które mnie od nich dzieliły. Zbliżałem się krok za krokiem. Zacząłem rozumieć, dlaczego nigdy nie nauczyłem

się od Niemców nienawidzić. Nawet tamtych z cmentarza stanisławowskiego, mordujących ludzi między jednym papierosem a drugim, nie nienawidziłem jako Niemców. Dla mnie byli to po prostu hitlerowcy i SS-mani a potem dopiero Niemcy. Jakby jedno z drugim nie miało nic wspólnego. Szczytem moich niepokojów było niesamowite odkrycie.

Wertując kiedyś Kronikę Polkowic, cienką książeczkę, chyba skróconą wersję czegoś większego, wydaną w miejscowej drukarni, znalazłem ...swoje nazwisko. Czarne, gotyckie litery krzyczały „Reiche” Kronika wśród wielu wybitnych osobistości podawała z niemiecką drobiazgową wprost dokładnością rodowód zasłużonej dla miasteczka rodziny Reiche. Imiona i daty obok „mego” nazwiska układały się z chronologiczną dokładnością bodajże od połowy XVI wieku. Historia rodu kończyła się w połowie wieku XIX. Co się z tą rodziną stało? Wymarła, straciła na znaczeniu? Może ostatni przedstawiciele herbowego rodu skorzystali z ożywionej wówczas kolonizacji wschodu Europy i wyjechali? Dokąd wyjechali? Czy miał z nią coś wspólnego pastor Karl Sigismund Reiche żyjący w latach 1772 i 1845, też wielce zasłużony dla miasteczka, bo i o nim jest dość obszerna informacja w Kronice?

Te pytania gnębiły mnie długo. Były to zresztą absurdalne pytania. Nie miałem przecież najmniejszych podstaw, aby sądzić, że może istnieć jakiś związek z moimi przodkami, którzy w połowie ubiegłego wieku przyjechali z Saksonii do wschodniej Galicji z rodziną w Polkowicach. Nazwisko to nie jest wprawdzie tak powszechne w Niemczech jak u nas Kowalski, ale słyszałem już ich wiele i w różnych częściach tego kraju. Na przykład znaną badaczką prekolumbijskiej kultury w Peru jest pani Maria Reiche. Tak jak moja mama...

Pytania i same dociekania były absurdalne, ale nie przeszkodziło mi to rozczulić się nad grobem jakiejś Elzy Reiche na ewangelickim cmentarzu. Może była krewną pastora Sigismunda? Wiedziałem, że nigdy nie dojdę do jakichś wiążących wniosków. Nie wiadomo zresztą jakich? Co mogło zmienić się w moim życiu aż tak bardzo, abym zmienił się nie wiadomo w jakim kierunku? Jednak te pierwsze miesiące w Polkowicach przyniosły mi wiele burz, miotań i niepokojów. To coś tak jak mickiewiczowska Wielka Improwizacja w „Dziadach”, tylko, że ja nie potrafiłem przeobrazić się z Gustawa w Konrada...

Te rozterki pozostały mi zresztą na zawsze. Każde moje otoczenie w krótkim czasie dostrzegało we mnie te dziwne, proniemieckie „ciągoty”. Niemcy zawsze już byli mi bliżsi od innych narodów, mimo że jako internacjonaliście bliscy byli wszyscy... Może nosiłem w sobie duszę janczara?!

Andzia

Wiosna 1946 roku była już w pełni. W pierwszych dniach maja nastały prawie letnie upały. Stare drzewa koło szkoły i stawów błyszczały świeżymi sokami słodkiej zieleni. Opuszczone ogrodu i sady niemal w oczach pokrywały się bujną trawą i chwastami.

W nowym domu urządziłem się w wąskim, narożnym pokoiku, do którego wchodziło się z pokoju stołowego. Upatrzyłem go sobie już w pierwszym dniu i ten mroczny pokoik był moim pierwszym w życiu własnym kątem. Sam dobrałem sobie meble, których w domu było zatrzęsienie. Później pokoje zmieniałem, bo w tym czasie każdy z domowników mógł ich mieć i po dwa. Przeniosłem się po kilku miesiącach na pierwsze piętro a potem na poddasze. Jednak ten pierwszy bardzo utrwalił się w mej pamięci. Nie tylko dlatego, że był pierwszym...

Pewnego dnia przyszedł do nas były burmistrz Polkowic pan Trzmielewski. Niski, trochę garbaty mężczyzna po trzydziestce. Pełnił teraz jakąś funkcję w magistracie.



Bodajże był księgowym. Usiadł i nieco zażenowany zaczął: – Pani kierowniczo. Ja do pani z prośbą. Mieszka tu ze mną młodsza siostra. Może ją pani widziała? Tak? Otóż widzi pani, była wojna... Ma już swoje lata, więc trudno byłoby sadzać ją w ławce z małymi dziećmi. Może by tak ją pani poduczyła, aby mogła zdać siódmą klasę? Oczywiście ja zapłacę – dodał szybko jakby bał się natychmiastowej odmowy.

– Hm. Czy ja wiem? Widzi pan, ja mam bardzo dużo pracy. Wciąż jestem w szkole sama a mam cztery klasy, pan rozumie?

A ile ona ma lat? – Kończy szesnaście.

Mama w tej chwili spojrzała na mnie i jakby przypomniała coś sobie nagle, zdecydowała:

– Dobrze! Niech ją pan przyśle. Mój syn też ma sporo zaległości. W Stanisławowie skończył szkołę radziecką, ma więc kłopoty z historią Polski i geografią a i w polskim też nie jest orłem. Będę ich uczyć razem.

Były burmistrz rzucił na mnie przelotne spojrzenie i zaczął długo dziękować. Nie mogłem doczekać się następnego popołudnia, które mama wyznaczyła na pierwszą lekcję. Nie znałem Andzi. Bardzo pragnąłem żeby była ładna...

Zjawiała się punktualnie. Zaaferowana, zarumieniona. Moje pierwsze pragnienie spełniło się, Andzia była ładna. Była zawstydzona, co chwila spływała purpurowym rumieńcem. Głowa okolona dwoma grubymi warkoczami sprawiała wrażenie ukoronowanej. Pełna rumiana buzia i dwoje czarnych, płonących oczu. Cera świeża, delikatna bez najmniejszej skazy i czerwone, zmysłowe usta. Sylwetka może dość pełna a nogi na pewno nie sarnie, ale i tak Andzia urzekła mnie już po kilku minutach. Już na pierwszej lekcji więcej uwagi poświęcałem profilowi Andzi niż wykładowi mamy...

Serce waliło mi jak młotem. Nie wiedziałem, gdzie podziać oczy i co zrobić z rękami. Odtąd uczucie moje rosło z każdym dniem, z każdą lekcją. To samo musiało dziać się i z moją współuczennicą, bo była coraz bardziej podniecona. Ilekroć spotkały się nasze oczy spuszczała na nie długie rzęsy i spływała pąsowym rumieńcem. Nastaly piękne dni.

Andzia przychodziła zaraz po obiedzie. Mama zadawała nam lekcje i zazwyczaj odchodziła. Zostawaliśmy sami w moim pokoiku. Siadaliśmy nad rozłożonymi zeszytami i pogrążaliśmy się w sobie... Była to, jak wyczytaliśmy później u jakiegoś poety, rozmowa dusz. Nie potrzebowaliśmy wielu słów. Rozmawialiśmy palącymi spojrzeniami i półsłówkami. Taka rozmowa „mówiła” więcej od wielogodzinnej oracji. Unikaliśmy spojrzeń wprost w oczy, bo wtedy płonęły jakimś palącym ogniem. Coś nami wstrząsało. Głos stawał się chrapliwy i rozdygotany. Oboje wiedzieliśmy, że się kochamy. To była prawda bardziej oczywista od tych, która nieświadoma niczego biedna mama usiłowała wtłoczyć do naszych odurzonych, bujających w obłokach umysłów. Nigdy chyba do końca nie rozwiązaliśmy żadnego zadania...

Długo trwał ten słodki letarg. Już od rana czekałem upragnionego popołudnia. Siedziałem w oknie i wypatrywałem, kiedy ukaże się w uliczce koło szkoły. Andzia mieszkała z bratem w ładnym domu przy końcu ulicy Lipowej, która była taką jakby ulicą willową w Polkowicach.

Z radością patrzyłem jak przyspiesza kroku ilekroć zobaczy mnie w oknie. Byłem szczęśliwy. To samo czytałem w jej oczach, ale pod cudownymi rzęsami, które tak pięknie potrafiły kryć piękno źrenic było coś jeszcze. Jakby oczekiwanie, pragnienie i niedosyt. Nie raz zawieszała wzrok na moich ustach, czekała na coś... Gdy zbliżałem głowę przymykały oczy i rozchyłała wargi. Wiedziałem, na co czeka, czego pragnie... Ale ja przy swoich siedemnastu latach byłem jeszcze szczeniakiem. Nie miałem żadnego doświadczenia z dziewczynami. Byłem przy tym bardzo nieśmiały i jak ognia bałem się śmieszności. Andzia najwyraźniej czekała na jakieś słowa, jakieś wyznanie. Sama dostarczała mi do tego okazji. Ułatwiała. Jej usta pragnęły moich ust. Czytałem to w jej palących spojrzeniach, krótkim, urywanym oddechu.

Przegapiłem wszystkie okazje. Może przegapiłem wielkie szczęście, jak potem nie raz w życiu? Spóźniłem się, a kobiety nie lubią mężczyzn niezdecydowanych, spóźniających się, ale o tym też dowiedziałem się wiele lat później. No i kiedy wydawało mi się, że już, już zbiorę się na odwagę i podejmę jakiś zdecydowany krok – było już za późno. Na horyzoncie mego życia pojawił się Felek...

Pewnego razu pod oknem mego pokoju zatrzymał się wysoki smukły chłopiec na rowerze. Nie schodząc z siodła rozpoczął ze mną rozmowę. Nie pamiętam, czego dotyczyła ta pierwsza konwersacja, na pewno nie były to żadne sprawy ważne, ale w pewnej chwili nieznajomy zaskoczył mnie nieoczekiwaną propozycją: – Ty, słuchaj! Jak chcesz to będziemy kolegami, dobrze?

Nikt nigdy w tak prosty i szczery sposób nie ofiarował mi jeszcze koleżeństwa i dlatego musiało upłynąć kilka sekund, zanim wyraziłem zgodę. Byłem nawet zadowolony z tej znajomości. Jakoś nie udało mi się do tej pory nawiązać bliższych kontaktów z polkowickimi rówieśnikami. No „miałem” Andzię, ale to

przecież zupełnie co innego. Dopiero po tej wstępnej prezentacji przyjrzałem się Felkowi, bo tak się przedstawił – uważnie. Smukła, wprost wyciągnięta sylwetka przerastająca mnie chyba o głowę. Pociągła twarz z wyrazem inteligencji i jakby zamyślenia. Szare oczy wpatrywały się we mnie uważnie i badawczo. Jasne blond włosy przystrzyżone miał krótko i uczesane w przedziałek, przylizany nad czołem, co nadawało mu pewnej schludnej, chłopięcej staranności. Ja przy nim musiałem wydawać się bardziej niedbały.

Miał na sobie jasną, obcisłą i czyściutką koszulę i przeraźliwie wąskie spodnie, co jeszcze bardziej wydłużało całą postać. Ponieważ mój nowy kolega był wyższy ode mnie, oszacowałem jego wiek na co najmniej równy mojemu. Potem okazało się, że Felek jest młodszy o całe trzy lata. Miał więc czternaście lat, ale bogiem a prawdą wyglądał na mego starszego brata.

Już nazajutrz Felek odwiedził mnie w domu. Potem zaczęliśmy wyruszać na coraz dalsze wycieczki. Felek pokazywał mi nieznane mi dotąd zakątki Polkowic.



No i opowiadał o sobie. Mieszka na placu Piastów z rodzicami i starszą o dwa lata siostrą Lucią. Do Polkowic przyjechał już późnym latem ubiegłego roku, wprost z przymusowych robót w głębi Niemiec. Pochodzą z dalekich Kresów, spod Pińska, więc nie mieli dokąd wracać. Ojciec Felka

przez całe życie pełnił funkcję rządcy w różnych pańskich majątkach, podobnie jak moi niemieccy przodkowie w Tarnopolskiem. Felek dość dobrze mówi po niemiecku, po rosyjsku, a podobno i po białorusku, czego sprawdzić nie mogłem, bo zupełnie nie znam nawet brzmienia tego języka. Mój kolega mimo nieukończenia podstawowego wykształcenia, zadziwia mnie zasobem wiadomości z różnych dziedzin. Jest niezwykle inteligentny i bardzo logiczny. Cechuje go jakaś bardzo już dorosła filozofia życiowa. Sporo w nim też sentymentalizmu. Romantyzm i racjonalizm połączyły się harmonijnie w niegryzące się kombinacje w tym czternastoletnim dryblasie z sypiącym się zarostem, większym niż u mnie. Felek zaczął się już nawet golić ojcową brzytwą – ja ku mojej rozpaczycy jeszcze nie...

Podczas którejś wizyty Felek spotkał w moim pokoju Andzię, która jak zwykle przyszła na lekcje. W ten sposób się zapoznali i odtąd już wizyty Felka w czasie naszych lekcji stały się regułą. Początkowo nie zwracałem uwagi na to, że moja koleżanka szkolna wyraźnie ożywia się na widok mego nowego kolegi. Jest jeszcze bardziej spłoniona i zawstydzona.

Wkrótce na dnie mego serca zaczął się rodzić dziwny niepokój i uczucie zazdrości. Nie zdawałem sobie jeszcze z tego sprawy aż do dnia, kiedy niespodziewanie przechwyciłem ich porozumiewawcze spojrzenie, o, jakże znałem takie spojrzenia

w oczach mojej bogdanki. Zacząłem coraz poważniej podejrzewać w Felku rywala do serca Andzi. Sprawa stała się zupełnie jasna, kiedy pewnego dnia spotkałem Felka pod domem Andzi. Swoim zwyczajem siedział na rowerze i oparty o płot rozmawiał z wychylającą się z okna dziewczyną. Straszna prawda olśniła mnie z przeraźliwą jasnością. Jak obuchem walnęła w głowę nieokiełzaną rozpaczą. Był to mój pierwszy zawód miłosny. Po raz pierwszy zostałem zdradzony przez dziewczynę, która tak naprawdę nie była jeszcze moją. Rozpaczałem nie tylko za Andzię. Straciłem też jedynego przyjaciela, który w jednej chwili stał mi się śmiertelnym wrogiem. Rozpocząłem głupią, beznadziejną i bezsensowną walkę. Miałem już wtedy w Polkowicach i innych kolegów, których zapoznałem właśnie dzięki Felkowi. Najbliższymi byli



Tadzio z licznej rodziny piekarskiej i Julek, chłopak z Bukowiny. Oni to podali mi teraz bratnią dłoń i stali się gorliwymi sojusznikami w szukaniu na Felku zemsty.

Urządzaliśmy zasadzki pod domem Andzi. Ścigaliśmy Felka po wielokroć razy, ale zawsze potrafił nam umknąć na swoim nieodłącznym rowerze, z którego zsiadał chyba tylko do posiłków i przed snem. Był czujny jak lis. Zawsze dostrzegał nas pierwszy. Zakochani po prostu drwili sobie z naszej bezsilności. Nigdy nie wpadł nam w ręce, ale myślę, że gdyby

nawet to i tak nie miałyby to żadnego sensu. Kiedy pierwsza złość mnie opuściła, to nasze polowanie urządzaliśmy jakby dla zasady, bez większego przekonania. Wątpię, czy zdecydowalibyśmy się mu wlać, gdyby wpadł nam w ręce.

Swoją miłość i rozpacz, tak szybko po sobie następujące, wyraziłem w inny sposób. Swoim zranionym sercem popełniłem swój pierwszy „utwór literacki”. Nazwałem go nie wiadomo dlaczego serenadą. Była to proza poetycka napisana tak wzniosłym stylem, naszpikowana tytu gwiazdami, promykami, kwiatuśkami i tytu odmianami słowa kocham, że chyba tylko Petrarca użył ich więcej w swoich sonetach. Pamiętam, że ta pieśń pękającego serca kończyła się słowami „Już nigdy uśmiech nie zawita na mojej twarzy”.

W jakiś czas potem, kiedy miotania mego serca były już tylko wspomnieniem, przeżyłem głupią historię. Pewnego razu wpadłem do domu bardzo wesoły i zacząłem się ze śmiechem o coś przekomarzać z Zosią. Mama przyjrzała mi się raz i drugi jakby z tłumioną wesołością aż zapytała:

– Zbyszek! Czego ty się śmiejesz?

Musiałem mieć niczego nierozumiejącą minę, bo dodała poważnie:

– No tak. Miałeś przecież już nigdy w życiu nie śmiać się...

– Nie rozumiem? Dlaczego niby mam się nie śmiać?

– Sam tak przecież napisałeś – mama wyjęła z szuflady pomietaną kartkę papieru i rozłożyła na stole – o tu wyraźnie pisze: „Już nigdy uśmiech nie zawita na mojej twarzy”.

Przyjrzała mi się z uśmiechem wyczekująco, a ja poczułem palenie policzków.

– Skąd mama...?

– Skąd mam? Babcia znalazła zmięte pod piecem... Nawet ładny utwór. Może zbyt wzniosły, aż barokowy, ale ujdzie. Tylko niestety jest w nim tyle błędów ortograficznych, że ja dałabym za to dwóję z dwoma szynami. Tak bardzo się w niej zakochałeś, a ona wybrała innego? Widzisz, to tak już w życiu bywa – mama westchnęła jakby do jakichś wspomnień.

– Teraz rozumiem dlaczego Andzia przerwała lekcje... To nie było jeszcze prawdziwe uczucie. Sam widzisz, że jednak się śmiejesz. Cóż, z nauki na razie nic nie wyszło. Może pójdziesz do pracy?

– Do pracy? Gdzie?

– No, choćby do roszarni. Porozmawiam z dyrektorem, panem Wiernowskim. Oni wciąż potrzebują pracowników. A na razie, wiesz co? – przypomniała sobie mama – przed szkołą stoi taki maszt do wieszania flagi. Jest czarno-biały. Widziałam w piwnicy różne farby. Może byś pomalował go aby był biało-czerwony?

– Dobrze! I powiesimy na nim naszą, polską flagę!

Maszt postawiłem wspólnie z Felkiem. Jego romans z Andzią nie trwał długo. Wprawdzie nigdy nie wyjawiał mi prawdziwego powodu zerwania, ale ja myślę, że ten uczuciowy chłopak poczuł jakby wyrzuty sumienia, które mu podpowiadały, że jednak zrobił świństwo. A może poznał prawdziwą wartość Andzi, która jak się wkrótce okazało nie była taką wzniosłą doskonałością, jaką przedstawiłem w swojej „Serenadzie”?

W kilka miesięcy później Andzia uciekła, dosłownie uciekła z domu ze swą jedyną koleżanką. Uciekły z podchorążymi szkoły lotniczej, których grupa przez pewien czas bawiła w Polkowicach, wertując i wywożąc całe tony książek o tematyce lotniczej, które w pośpiechu Niemcy tu zostawili.

Dziewczęta po kilku tygodniach wróciły, ale w oczach chłopców polkowickich straciły wiele.

Felek wrócił, więc do przyjaciela i na zgodę zamiast wypić kielicha, czego jeszcze nie praktykowaliśmy – wykonaliśmy wzniosły, patriotyczny czyn zawieszenia polskiej flagi na maszcie przed szkołą.

Farby w naszej piwnicy rzeczywiście były. Biała i czerwona też. Maszt trzeba było odkręcić i pochylić poziomo. Pracowaliśmy z Felkiem całe popołudnie. Pięknie teraz wyglądały zwijające się w spirale białe i czerwone pasy. Czerni nie bardzo chciała pokryć się z czerwoną, ale po dwukrotnym malowaniu nie pozostało po niej śladu. Nazajutrz, kiedy farba wyschła naprawiliśmy zerwane linki i maszt poszedł w górę. Flagę mieliśmy już gotową. Uszyta była ze znalezionej na strychu flagi hitlerowskiej. Po odpruciu białego koła ze swastyką. Białą pas płótna znalazła babka i ona to uszyła naszą banderę na swojej starej, pamiętającej jeszcze austriackie czasy, przywieziona ze Stanisławowa maszynie „Singer”.

Pamiętam, był piękny czerwcowy dzień. Późne sobotnie popołudnie. Staliśmy z Felkiem przed naszym odnowionym, spolszczonym masztem flagowym, Felek przypiął linkę a ja wolno ją podciągałem. Wolno, bardzo wolno...

Wydawało mi się, że jestem na pokładzie okrętu wojennego, oto na chwilę przed wypłynięciem w morze wciągamy na maszt banderę. Płynie wolno w górę, dostojnie w ciszy a lekki wietrzyk muska jej fałdami. Z zadartymi głowami patrzymy w milczeniu w górę.

U wylotu ulicy Pocztowej stoi dwoje nastoletnich Niemców, chłopiec i dziewczyna. Mogą być naszymi rówieśnikami. Przy nich staruszek, mieszkający naprzeciw nas. Stoją i w milczeniu patrzą. Patrzą bez słowa. Nieruchome, spokojne twarze utkwione we wznoszącą się białą-czerwoną banderę. Co czują? Nie wiem. Może dopiero teraz w tej chwili zrozumieli, że kończy się jakaś epoka? Koło historii zatoczyło ogromne, kilkunastoletnie koło i wróciło do punktu wyjścia?! Nie wiem, co czują ci Niemcy dwóch pokoleń. Może to samo, co ja czułem w 1939 roku w małym miasteczku na Wołyniu w Kostopolu w dzień po „wyzwoleniu nas od pańskiej Polski”, w deszczowy poranek, który „obrodził” czerwonymi flagami? Żal? Nienawiść? Nie wiem. Milczę... Wiem, co czuje ja.

Chwila jest wzniosła i wzruszająca. Wiele takich flag już było, wiele widziałem, nawet tu w Polkowicach, ale ta flaga jest moja! Nigdy jeszcze wciągałem na maszt polskiej flagi. Musiałem wieszać czerwone radzieckie, hitlerowskie ze swastyką z okazji różnych świąt okupantów, ale polskiej nigdy.

Pierwsza polska flaga, przed pierwszą polską szkołą w małych Polkowicach. Czy to nie wielka chwila?

Przyjaciele

Początek gorącego lata. Przyjaźń z Felkiem po ciężkiej próbie, którą ja przeszedłem może z niezbyt wielką godnością – teraz już chyba stała się trwałą. W tej chwili nic nas nie dzieliło. Nie było między nami żadnej dziewczyny, a tylko one potrafią poróżnić „prawdziwych” mężczyzn.

Już w krótkim czasie zacząłem coraz bardziej podziwiać mojego przyjaciela. Jego sposób myślenia i wyciągania wniosków z różnych problemów był tak logiczny, że nie powstydziliby się go człowiek dorosły i wykształcony. Kiedy po latach przyszło mi wysłuchiwać „teorii” różnych profesorów, doktorów a zwłaszcza tak zwanych polityków to zawsze wypowiedzi te starałem się porównywać z tym, co powiedziały na ten temat Felek. Dziwne, ale zawsze wychodziło na korzyść mego przyjaciela... Felek, młodszy ode mnie zresztą o trzy lata, już wówczas miał wyrobione trafne poglądy na wiele spraw, które ja zrozumiałem wiele lat później, po wielu doświadczeniach i rozczarowaniach. Felek w zasadzie nie był wyznawcą żadnej idei, ale każda wywarła na nim piętno, coś z nich przyjął i w bardzo logiczny sposób połączył w swój dość dziwny światopogląd. Podobnie jak cała jego rodzina nie

był praktykującym katolikiem. Prawdę mówiąc, nigdy nie udało mi się zgłębić prawdziwych przekonań religijnych mego kolegi. Ojciec Felka przez jakiś czas utrzymywał dość żywe kontakty ze Świadcami Jehowy, ale wydaje mi się, że i oni go rozczarowali. Najwyraźniej wciąż poszukiwał „prawdziwej wiary” a rodzina przyjęła postawę wyczekującą. Do dziś nie wiem, na co się ostatecznie zdecydowali. Największą pasją Felka, która notabene po latach stała mu się zawodem, była motoryzacja. Mógł kilometrami wędrować po odległych od Polkowic pobojuwiskach w poszukiwaniu motorów i wszystkiego, co miało cokolwiek wspólnego z samochodem lub motocyklem. Marzył przy tym o karierze pilota, oczywiście wojskowego. Nosił nawet stale niemiecką furażerkę lotniczą i półwojskowy strój. Ja zresztą też nie mogłem rozstać się z moimi mundurami. Najczęściej nosiłem granatową bluzę angielskich sił powietrznych, którą otrzymałem z paczki UNRRA a na chłodne dni ubierałem, niemal do końca mojego pobytu w Polkowicach, nosiłem ocieplaną panterkę niemiecką, na lato łąciatą a po odwróceniu na zimę – białą. Nosiłem też radziecki szynel z niebieskimi patkami NKWD...

Różnie wtedy z odzieżą bywało a najczęściej było jej po prostu za mało. Nikt zresztą do tego nie przywiązywał wagi. Nie po ubiorze oceniano się wtedy ludzi. Choć nie podzielałem miłości Felka do motorów, bo ja w tym czasie marzyłem o służbie marynarskiej, to wędrowałem z nim po polach, pobojuwiskach, opuszczonych pałacach w poszukiwaniu nie tylko motorów. Szło głównie o przygody i wrażenia. Pieszono lub na rowerach, zaopatrzeni w bardzo dokładne niemieckie, wojskowe mapy tych terenów, wyruszyliśmy w drogę. Zapuszczaliśmy się o kilkanaście i więcej kilometrów od Polkowic. Okoliczne lasy były ogromne. Na południu i zachodzie przechodziły w Bory Dolnośląskie. Ciągnęły się kilometrami, gęste, wysokie i mroczne. Lasy te kryły jeszcze wiele tajemnic ostatniej wojny. Bywało, że niespodziewanie wyskakiwało się na opuszczone baterie dział, stojące wśród drzew, jakby przyczajone czołgi a na leśnych polanach trafiało się niemal gotowe do startu samoloty. Na leśnych polanach i drogach stały całe kolumny czołgów, samochodów i transporterów opancerzonych. Odnosiło się wrażenie, że obsługa i kierowcy tylko na chwilę opuścili swoje pojazdy, ale zaraz wrócą, zasiądą za kierownicami, zawrzą silniki i zamarła kolumna ruszy w dalszą drogę. Wszystko to kryło w sobie moc niespodzianek i tajemnic. Było fascynujące i pobudzało wyobraźnię. Byliśmy odkrywcami.

Tu i ówdzie widziało się wprawdzie ślady czyjejś poza nami bytności, zdjęte opony z kół, wybebeszone skrzynie z różnym sprzętem wojskowym, sterty dokumentów, wymontowane a potem porzucone mechanizmy aut, ale były też miejsca gdzie byliśmy naprawdę pionierami od chwili, gdy wygasły silniki aut i czołgów a ich załogi powędrowały w nieznaną.

Czego tam nie było! Najwięcej oczywiście hełmów. Różne hełmy o różnych odcieniach feldgrau, różnych kształtach i różnymi oznaczeniami formacji.

No i zatrząsienie masek gazowych w cylindrycznych, blaszanych pudełkach. Poza hełmami ich było najwięcej. Nic dziwnego, wszak każdy żołnierz niemiecki miał na wyposażeniu hełm i maskę. Taki był regulamin. Hełm przydawał się, ale maska? Przez wszystkie fronty żołnierze niemieccy taszczyli te puszkę bez żadnej potrzeby. W drugiej wojnie światowej nie używano gazów bojowych.

Wszędzie na leśnych drogach, przy samochodach walają się zwoje taśm od karabinów maszynowych i sterty wystrzelonych łusek wszelkiego kalibru, od pistoletowych do metrowej długości od dział. Było też sporo amunicji. Zapewne większość cenniejszego sprzętu zaraz po bitwie zabrali żołnierze radzieccy. Zwłaszcza lornetki, pistolety, teczki oficerów i różny żołnierski dobytek, ale dużo tego, a najwięcej amunicji jeszcze zostało. Sterty rozsypanej przy samolotach, ale i wystarczyło czasem zejść w las kilka metrów od drogi, aby napotkać całe stosy skrzynek z nowiutką, naoliwioną jeszcze amunicją do dział różnego kalibru, zenitówek, moździerz i karabinów.

Terenów tych nie tknęła jeszcze ręka saperska. Nawet na leśnych drogach. Głębiny leśne nadal były groźne śmiercią ukrytą w ziemi i stosach pocisków, które mogły wylecieć w powietrze po jednym, celnie rzuconym kamieniu.

My z Felkiem brodziliśmy między tym całym żelastwem i wszystkim „próbowaliśmy”. Oczywiście, była to straszliwa lekkomyślność granicząca z brawurą, ale my naprawdę nie baliśmy się tych wszystkich min i pocisków. Byliśmy lekkomyślni, ale nie tak do końca bezmyślni. Mieliśmy w sobie jakiś instynkt, który kazał nam zawsze w porę pohamować zapędy fantazji. Właśnie... byliśmy odważni, ale nie bezmyślni.

Może, dlatego zdarzył się nam „tylko” jeden nieszczęśliwy wypadek. Skończył się szczęśliwie, ale dał nam sporo do myślenia, nauczył przede wszystkim cierpliwości. Czekaliśmy na wybuch podpalonego lontem dużego granatu przeciwpancernego. Miał eksplodować o kilkanaście metrów od transportera, za którym byliśmy ukryci. Minął już odliczony czas a wybuchu nie było. Felek niecierpliwe wyjrzał zza pancernej płyty i właśnie wtedy huknęło. Mój przyjaciel błyskawicznie chwycił się za oko. Byłem przerażony. Po chwili Felek odsunął rękę, okazało się, że to „tylko” mała blaszka ugodziła go tuż pod okiem... Wysączyła kilka kropel krwi. A gdyby tak kilka milimetrów wyżej? Po wsze czasy miałbym już jednookiego przyjaciela. Był jeszcze jeden wypadek, bardzo groźny.

Stało się to już wtedy, kiedy do naszych tajemnic dopuściliśmy i innych kolegów. Byli to Tadzik i Julek. Postanowiliśmy wypróbować wreszcie pięć przeciwpancerną, tak zwany pancerfaust. Mieliśmy właśnie odpaloną głowicę pozbawioną drążka miotającego. Broń ta była tak przemyślnie skonstruowana, że jeżeli odpalona głowica nie uderzyła w coś twardego to po prostu nie wybuchła. Ta właśnie była taką. Ułożyliśmy głowicę starannie na środku małego ogniska i ukryliśmy się za małym pagórkiem. Czekanie przedłużało się. My z Felkiem mieliśmy już

doświadczenia i sporą dozę cierpliwości, ale Tadzio nie wytrzymał, zerwał się i poszedł w stronę ognia.

– Nie idź Tadzio! – wołaliśmy – Jeszcze poczekajmy!

– Ona pewnie spadła z ognia. Trzeba ją poprawić.

Unieśliśmy się na kolana i patrzymy jak idzie prosto na ognisko. Był już od niego na dwa metry, kiedy nagle wszystko znikło. W miejscu gdzie płonął ogień i stał Tadzio wykwitł nagle krzak oślepiającego ognia. Nie czekając aż huk przewali się nad lasem i dym opadnie – rzuciliśmy się naprzód. I wtedy, jak na komendę stanęliśmy jak wryci. Tadzio stał obok zmiecionego przez wybuch ogniska a raczej miejsca po nim. Po prostu stał. Nawet nie upadł... Błady jak ściana, na pół ogłuszony, ale żywy. A co najdziwniejsze, co się potem okazało niedrażnięty najmniejszym nawet odłamkiem. Dziwne, bo przecież nad nami przefrunęło ich sporo... Nigdy nie potrafiliśmy sobie wytłumaczyć tego „cudu”. Przecież pancerfaust rozrywał pancierz każdego czołgu!

W miarę naszych wędrówek z Felkiem, z reguły bez innych kolegów, których jednak do wszystkich tajemnic nie dopuszczaliśmy – nauczyliśmy się rozróżniać rodzaje i właściwości różnych min, pocisków i granatów. To też poczynaliśmy sobie coraz śmielej. Drogę naszych szlaków znaczył ślad wysadzanych w powietrze wraków i huk eksplozji. Z każdej wyprawy, jak przystało na „odkrywców” wracaliśmy obładowani łupami. Znosiliśmy z poboju różnorodny sprzęt wojenny, motoryzacyjny i radiowy. Silniki, radiostacje, maszyny do pisania, maszty antenowe a nawet, co ładniejsze hełmy i maski gazowe. Mieliśmy też oczywiście różnego rodzaju broń i amunicję. Mieliśmy szybkostrzelny karabin maszynowy, montowany na samolotach, ale pod koniec wojny używany również w piechocie. Zdobyliśmy karabin mauser i stary, ale sprawny pistolet parabellum. Do tego setki sztuk amunicji, granaty, zapalniki, woreczki z prochem a nawet całe miny. Wszystko to zawałało mój pokój na poddaszu, do którego przeprowadziłem się w międzyczasie. Narożny, pamiętający czasy nigdy niedokończonych lekcji z Andzią, oddałem Zosi. Na poddaszu miałem do swojej wyłącznej dyspozycji dwa pokoiki i kilka komórek.

Gdyby ktoś z Urzędu Bezpieczeństwa wpadł na pomysł przeprowadzenia u mnie rewizji, to bez wątplenia uznałby, że wpadł na arsenał jakiejś wywrotowej organizacji wrogiego podziemia, które podobno gdzieś tam w Polsce dawało znać o sobie. W przypadku pożaru mielibyśmy piękny fajerwerk... Ale my cały ten groźny sprzęt gromadziliśmy bez żadnego celu. Ot, tak sobie, dla własnej satysfakcji i przyjemności.

Wiele z tego, co przynieśliśmy, zwłaszcza sprzęt precyzyjny i radiowy nie przedstawiało już większej wartości. Przecież już rok i to przez zimę leżało to wszystko na otwartej przestrzeni w deszczu, śniegu i na mrozie. Nie mieliśmy też oczywiście żadnych kwalifikacji do uruchomienia czegokolwiek. Felek nigdy nie uruchomił

żadnego motoru a ja żadnej radiostacji, gdyż moje zainteresowania w braku morza poszły właśnie w tym kierunku.

Chyba tylko dziełem przypadku było, że udało nam się doprowadzić do stanu używalności kilka prostych odbiorników radiowych, ale to tylko odbiorniki cywilne, nie pochodzące z pobojowisk. Pierwszy, uruchomiony Volksempfänger VE-30I był moją dumą. Przez wiele lat grał w naszym mieszkaniu. Podobnie jak namiętności Felka do motoryzacji stały mu się potem zawodem, bo do końca życia czynnego zawodowo pracował przecież w mechanizacji rolnictwa, tak i w moim przypadku zainteresowania radiotechniką przekształciły się w kwalifikacje zawodowe.

Po latach mogliśmy obaj śmiało powiedzieć, że zawody swoje zaczęliśmy zdobywać na polkowickich pobojowiskach... Największym i jakby najzasobniejszym w sprzęt wojenny terenem było najczęściej przez nas odwiedzane pobojowisko leżące między wsią Szronowo a Dolnymi Polkowicami. Potem Szronowo przemianowano na Sobin. Zajmowało ono obszar małego lasu za PGR Polkowice Dolne i potem łąkami aż do Szronowa. Na zachód ciągnęło się polami na przestrzeni kilku kilometrów aż do widniejącej na horyzoncie ściany lasu. Cała ta przestrzeń usłana była dziesiątkami pojazdów wojskowych, wijących się serpentynami na polnych drogach. Jak się potem dowiedzieliśmy, rozbito tu duże ugrupowanie wojsk niemieckich, będących w odwrocie z kierunku Polkowic. Był to 800-osobowy oddział pułkownika Gueulenburga, który przebił się aż tu z obłożonego Głogowa. Oddział ten został później otoczony między Parchowem i Polkowicami i doszczętnie rozbity. Podobno ocalało zeń ledwie kilkunastu żołnierzy. Zostały po nich całe kolumny samochodów, transporterów, aut pancernych i czołgów. Było też dużo limuzyn sztabowych. Zaskoczenie musiało być ogromne i druzgocące. Spowodowało panikę w kolumnach i duże straty. Tuż pod Szronowem stał nawet gotowy do startu trzymotorowy samolot transportowy. Zupełnie nieuszkodzony, nie licząc oczywiście późniejszej dewastacji. Może nie miał paliwa, lub nie zdążył wystartować? Felek lubił godzinami siedzieć za jego sterami. Potrafił wspaniale wczuć się w rolę pilota. Ktoś obserwujący nas z boku mógł podejrzewać, że mój kolega naprawdę ma przygotowanie do latania...

Któregoś dnia wzdłuż ściany lasu od strony drogi do wioski odkryliśmy długi szereg żółtych, nie porośniętych jeszcze trawą, mogił obrońców tej Ziemi. Pochowały ich troskliwe ręce miejscowych Niemców. Niemal każdy grób oznaczony jest tabliczką z personaliami poległego żołnierza. Są też małe krzyżyki. Na niektórych leżały przestrelone hełmy i zeschnięte wiązanki kwiatów. Czy leżeli tu wszyscy z tych ośmiuset oddziału pułkownika Gueulenburga? Niektóre groby są najwyraźniej zbiorowe, ale czy aż tylu? Może gdzieś tam w lasach jest jeszcze jeden taki cmentarz? Wśród porzuconych pojazdów można było znaleźć strzępy mundurów. Na rękawie jednego z nich zobaczyliśmy czarną tasiemkę ze srebrnym napisem „Herman Goering”. A więc i ci ze sławnej dywizji Waffen SS imienia marszałka Rzeszy też tu walczyli i ginęli...

Groby te otaczaliśmy z moim przyjacielem jakąś wstydliwą, milczącą czią. Nie byli to już przecież krwiożerczy esesmani. Nawet nie porozumiewając się, uważaliśmy, że ludzka nienawiść nie może sięgać poza grób, czego niestety nie potrafili i dziś jeszcze pojąć wielcy politycy, naukowcy i mężowie stanu... My z Felkiem pojęliśmy to, bez żadnych naukowych przygotowań już w pierwszym roku po wojnie...

Szanowaliśmy w tych grobach poległych żołnierzy. Żołnierzy, którzy jak by to nie nazwać tutaj, na tej Ziemi bronili swego kraju. Desperacko, beznadziejnie, ale bronili. Bronili, ginęli i za to już tylko należy im się szacunek. Dla nich ta Ziemia to była ich Ziemia, ich ojczyzna. Może niejeden z nich urodził się i wychował w tych stronach?

Dlaczego ci polegli, w jakiś sposób nie byli nam obcy. Wokół przecież widzieliśmy ich broń a nawet części umundurowania. Podświadomie czuliśmy więź tego wszystkiego z tymi, którzy spoczywali pod małymi kopczykami, nie porosłej jeszcze trawą ziemi.

A tak w ogóle to byliśmy bardziej związani z przeszłością niż rzeczywistością. Posługując się niemieckimi mapami wojskowymi, z reguły używaliśmy też niemieckich nazw miejscowości. Wioska na skraju poboju była częściej dla nas Herbersdorfem niż Szronowem a Lubiński Las Lubenswaldem. Do dziś nie wiem jak nazywa się wieś za cegielnią? Wtedy był to po prostu Petersdorf, tak jak wieś w lewo od szosy do Lubina była Wilhelmswaldem.

Rzadko kto z Polkowic lub Szronowa odważył się przekroczyć granicę tych śmiercionośnych pól. Bodajże aż do wiosny 1947 roku byliśmy z Felkiem jedynymi, którzy odważyli się przekroczyć tę niewidzialną przecież granicę. Tę lekkomyślną odwagę nagradzało nam uczucie dumy i satysfakcji. Był to nasz teren! Do dziś tam, na leśnych drogach, w rowach i na polach można znaleźć jeszcze zarośnięte doły po naszych „doświadczeniach” z minami, a w pniach wielu drzew tkwią pociski, którymi prażyliśmy z naszej broni... Dopiero wiosną 1947 roku dopuściliśmy łaskawie do naszych terenów innych kolegów. Wtedy to zdarzył się ten wypadek z Tadzkiem. Koniec naszego terytorium nastąpiło wiosną 1948 roku. Wjechały wtedy oddziały saperów i w ciągu kilku tygodni oczyściły teren z wybuchowego żelastwa. Po nich przybyły brygady robotników z aparatami do cięcia metalu. Wraki niemieckiej potęgi powędrowały do polskich hut...

Potem pola zaorano i obsiano zbożem. Wtedy, jako traktorzyści PGR w Polkowicach Dolnych, sami braliśmy w tym udział. Prowadząc traktor, za którym pług zgrzytał na resztkach naszego „terytorium” czuło się jakiś dziwny żal. To były jednak piękne czasy...

Po kilku latach po poboju nie było już nawet takich, zgrzytających śladów. Pozostały tylko wspomnienia i nachodziona czasem w jakiś zakamarkach mego pokoju jakaś rzecz, jakiś drobiazg, będący resztką naszego „arsenału”. Pozostały też mogiły. Zarosłe trawą i mchem.

Tylko my z Felkiem potrafiliśmy wskazać ich miejsce...

Spóźniony ból

Minęło już połowa wakacji, kiedy mama zdecydowała się pojechać do Suwałk. Dawno już miała ten zamiar, bodajże od pierwszych dni w Polkowicach. Nie miała jednak czasu. Nie mogła przecież zamknąć szkoły i wyjechać w swoich przecież prywatnych sprawach. Na początku wakacji, kiedy już mogła, wciąż ogarniało ją dziwne wahanie, jakby lęk. Wyczuwałem w mamie i dlatego nigdy nie rozmawialiśmy o całej tej podróży. A jednak trzeba było pojechać. Tam przecież pracowała do pierwszych dni wojny, podobnie jak i ojciec i to tam pożegnaliśmy go przed budynkiem Komisji Poborowej. Tak bardzo chciał zaciągnąć się do wojska mimo swojej kategorii „D”. To był pierwszy tydzień września 1939 roku. Od tego dnia nic o nim nie wiemy. Ojciec kazał nam jechać do rodziny mamy w Stanisławowie, gdzie miał nas odszukać zaraz po wojnie, która przecież miała potrwać najwyżej kilka miesięcy... Teraz mamy rok 1946... Może całą wojnę nie ruszył się z Suwałk i żyje tam do dziś ze swoją przyjaciółką, rudowłosą Heleną, jedną z piękności tego miasta? A może nas szukał? Gdzie? Gdyby nawet dotarł do Stanisławowa to i tak dowie się tylko, że wyjechaliśmy do Polski. Czy może znaleźć nas w jakichś małych Polkowicach?

Ale te wszystkie manipulacje myślowe były przedwczesne. Mama wróciła po kilku dniach. Weszła, rzuciła mi dziwne długie spojrzenie, jakby spłoszonej sarny i ja zrozumiałem wszystko, zanim buchnęła płaczem i wśród łkania opowiedziała mi wszystko.

Ojciec nie opuścił Suwałk we wrześniu 1939 roku. Do ostatniej chwili usiłował dostać się do wojska. Potem, kiedy wszelkie nadzieje rozleciały się jak pył na drogach odwrotu naszej armii – zaczął działać w Samoobronie Narodowej. Kiedy po kilkudniowej okupacji Suwałk przez armię radziecką do miasta wkroczyli Niemcy, ojciec po prostu przyczaił się jakby u pani Heleny. Właśnie, wszelkich wiadomości o losach ojca mama dowiedziała się właśnie od niej.

W Suwałkach powiedziano jej, że Helena mieszka obecnie w Legnicy, a więc bardzo blisko nas. Oczywiście w powrotnej drodze mama wstąpiła do niej, miała dokładny adres uzyskany od rodziny Heleny. Oto jej opowieść. Początkowo Niemcy zachowywali się przyzwoicie. Pewnego dnia jednak, a było to już zimą, wezwano ojca na gestapo, czy też jakiegoś urzędu, zajmującego się rejestracją osób pochodzenia niemieckiego. Rozmawiano z nim bardzo grzecznie. Konwersację ułatwiał fakt, że ojciec doskonale znał niemiecki. Proponowano mu stwierdzenie oczywistego faktu pochodzenia niemieckiego no i w związku z tym podpisanie Volkslisty. Ojciec również grzecznie, ale stanowczo z godnością odmówił. Niemcy nie nalegali, ale i nie zapomnieli... Aresztowano go z ostatnią partią suwalskiej inteligencji. Ostatni raz widziano go w grupie więźniów prowadzonych na stację kolejową. Górował nad innymi swoją wyniosłą sylwetką. Ubrany był w swój szary płaszcz z futrzanym kołnierzem i barankową czapkę.

Dalej urywa się opowieść Heleny i ludzi z Suwałk. Dalsze losy ojca można było wyczytać z jego listów. Szkoda, że nie zdołała zachować tych tak cennych dla nas pamiątek.

Pierwszym etapem drogi krzyżowej Józefa Reiche był organizujący się właśnie obóz koncentracyjny Studhoff koło Gdańska. Potem krótko pisał ze strasznych kamieniołomów obozu-piekła Gusen. Potem nadchodziły już tylko z obozu Sachsenhausen Oranienburg koło Berlina. W pierwszych dniach marca 1941 roku niemal za ostatnim listem, w którym zgodnie z obozową formułą zapewniał o swym „zdrowiu i dobrym samopoczuciu” Helena otrzymała urzędowe zawiadomienie o jego śmierci. Wiadomość była sucha i lakoniczna. Telegram donosił, że „Józef Reiche więzień numer 23571 obozu koncentracyjnego Sachsenhausen w Oranienburgu zmarł nagle na atak serca i galopującą gruźlicę w dniu 28 lutego 1941 roku o godzinie 9.30”. Wkrótce nadeszły kolejne przesyłki, urzędowy akt zgonu oraz paczka z rzeczami. Część odzieży, zegarek, dokumenty i osobiste drobiazgi. Wtedy w 1941 roku bawiono się jeszcze w takie grzeczności... Administracja obozu proponowała też przysłanie urny z prochami zmarłego za opłatą dziesięciu marek. Potrzebna była też pisemna zgoda władz kościoła czy innego związku wyznaniowego, do którego zmarły należał, na pochowanie urny na określonym cmentarzu. Niestety, rzymskokatolicki proboszcz suwalski, Polak, nie udzielał takiego zezwolenia... Ojciec, jako agnostyk, nie figurował w księgach parafialnych, a tacy ludzie nie mieli prawa spoczywać na katolickim cmentarzu. Nawet, jeżeli wracali do kraju w urnach, jako ostatnie szczątki bohaterów i męczenników. Nigdy nie wybaczyłem Kościołowi katolickiemu, że nie mam w Ojczyźnie mogiły mojego ojca. I nigdy nie wybaczę. Po ostatnie moje tchnienie.

Ostatnie chwile życia ojca i bezpośrednia przyczyna jego śmierci pozostaną dla mnie na zawsze tajemnicą. Może padł od kul plutonu egzekucyjnego albo zginął na drutach naładowanych elektrycznością? Może po prostu umarł z wycieńczenia albo rzeczywiście na jakąś chorobę? Nigdy się tego nie dowiem. Grobem jego jest cała niemiecka ziemia, cała Europa pokryta prochami krematoriów. Nie grób jednak jest najważniejszy. Nawet rodzaj śmierci nie jest taki ważny. Zawsze jest taka sama. Kiedy przychodzi w honorowej salwie plutonu egzekucyjnego, czy też ogarnia człowieka topionego przez kapo w dole kloacznym. Ważne jest to, co ją poprzedza, całe życie i sens, jakie mu się nadało. Nie ma też znaczenia nagrobek. Obojętnie, czy będzie to monumentalny granit lub marmur, leśna, porośła mchem mogiła czy też roślinka wyrosła na rozsianych po polach prochach.

Mimo, że śmierć ojca nie była tak dosłownie widoczna jak w przypadku zmarłych „normalnie” w łózkach ciotki i dziadka, lecz daleka, osnuta wyobraźnią, była przegrodzona latami od tamtego dnia, kiedy wydał ostatnie tchnienie a dniem dzisiejszym, gdy wieść ta dotarła do mego serca to przeżyłem ją bardzo ciężko. Dla mnie on umarł teraz! Dopiero teraz!

Przez wszystkie lata ojciec żył we mnie w moich marzeniach. Spóźniony ból – boli tak samo.

Czas pracy i zabawy

Trzeba było żyć dalej. Teraz było już jasne, że liczyć możemy tylko na siebie. Dotąd była jeszcze cicha, nienawistna nadzieja, ale jednak nadzieja, że ojciec wróci i pokieruje sprawami rodziny.

Nie bardzo miałem co robić w Polkowicach. Na szkołę średnią trzeba jeszcze poczekać długie lata. Mama próbowała zapisać mnie do gimnazjum w Głogowie. Trudności z przyjęciem nie było żadnych. Mama jako nauczycielka miała pewne „chody” w Inspektoracie szkolnym. Może obeszloby się nawet bez wstępnych egzaminów, ale wszystkie te plany rozbiły się o sprawy bardzo prozaiczne, przyziemne. Aby zamieszkać w bursie czy też internacie szkolnym trzeba było mieć jakiś, ustalony nawet zestaw odzieży. Niestety, ja czegoś takiego nie miałem. Brakowało mi wszystkiego, bielizny, odzieży, butów a nawet skarpetek. To, z czym przyjechałem ze Stanisławowa, dano już się rozleciało a i tak były to śmieszne kombinacje różnych mundurów niemieckich i radzieckich. W takich zresztą wciąż jeszcze chodziłem w Polkowicach, tyle, że były jakby nowsze, bo zdobyte na miejscu... To, co dostałem z UNRRA i wyszperałem w opuszczonych domach można było od biedy nosić w Polkowicach, gdzie wszyscy jakoś tak się ubierali, ale nie w mieście, wśród obcych ludzi.

Tak, więc sprawa zdobywania dalszej wiedzy rozmyła się z powodu głupich gaci... Nie bardzo się tym martwiłem, bo ja przecież i tak marzyłem o zawodzie marynarza a nie jakiegoś mola książkowego. Felek pragnął być lotnikiem, ale on był już teraz w lepszej sytuacji, bo miał pod ręką różne porzucone samoloty gdzie już mógł „czuć się” pilotem kręcąc sterami i manipulując różnymi przełącznikami. A ja? Do najbliższej rzeki, Odry było 22 kilometry a co dopiero morze...

Przypomniałem sobie propozycję mamy sprzed wakacji, abym zaczął pracować w roszarni lnu. Tam zawsze przyjmują wszystkich z otwartymi rękami. Nikt tam nie pyta o wykształcenie, zawód a tym bardziej o stan portek. Przyjęto, więc i mnie bez żadnych ceregieli. Była to już kolejna moja praca „zawodowa” w życiu. Jak na siedemnastolatka to nawet sporo. Po gońcu biurowym i tak zwanym chłopcu do wszystkiego w polskim Komitecie Opiekuńczym RGO, pastucha i furmanie w gospodarstwie rolnym, takim jakby sowchozie w Stanisławowie, miałem teraz zostać prawdziwym robotnikiem fabrycznym. Podobno teraz klasa robotnicza jest klasą rządząca a więc wspaniała przeszłość przede mną... Roszarnia lnu to mała fabryczka na wschodnich krańcach Polkowic przy ulicy Bieruta. Zupełnie niezniszczona, z kompletem maszyn i zapasem surowca na kilka lat produkcji. Fabryczkę uruchomiono już w końcu ubiegłego 1945 roku. Załoga jej składała się z kilkunastu mężczyzn i tyleż kobiet.

Fabryką kierował młody, przystojny dyrektor z sekretarką, piękną kobietą, która, na co dzień była jego przyjaciółką, czy też, jak kto woli konkubinią albo wręcz kochanką. W każdym razie razem mieszkali. Funkcję dyrektora administracyjnego, czy też raczej nazywano aprowizacyjnego pełnił drugi przystojniak Rudnicki, świetny organizator, dzięki któremu mieliśmy zawsze świetne i pożywne obiady a potem nawet śniadania. Nikt tak nie potrafił zorganizować dostawy do stołówki jak Rudnicki. Czynił to sobie tylko znanymi sposobami, może nawet nie zawsze legalnymi, ale zawsze dla fabryki korzystnymi. Zarobki w roszarni były raczej symboliczne, ale ludzie trzymali się fabryki właśnie głównie dla tych darmowych posiłków i wydawanych od czasu do czasu paczek UNRRA. Każda dostawa tych paczek to było wielkie święto. Cóż to była za emocja, rozpakowywać takie duże, kartonowe pudło. Czegoż tam nie było. Wszystko zapakowane w blaszanych puszkach jak konserwy. Konserwy mięsne różnych gatunków, nawet na słodko z figami, zupełna nowość w polskim menu. Ciasteczka, keksy, dżemy, marmolady, papierosy „Lucky Strike”, „Camele” i inne a nawet kartonowe zapalniczki w książeczkach, też zupełna nowość. Dla czystoszków był papier toaletowy i chusteczki. Nie było tylko alkoholu, nad czym bardzo bolała męska połowa obdarowana tym zamorskim dobrem.



Trzon załogi stanowiła kilkunastoosobowa grupa, głównie kobiet zatrudnionych w hali maszyn. Majstrem był tam przedwojenny jeszcze PPS-owiec z Poznańskiego stary Wolniak.

Pozostali pracownicy zajmowali się przygotowywaniem surowca w ogromnych stodołach lub w polu. Niemieccy gospodarze fabryki zostawili go w różnym

stadium przygotowania do produkcji. Dużo było już wymoczonego i gotowego na maszyny, ale były też ogromne sterty jeszcze nawet niewymłóconego. Wozy ze słomą ze stodoł do hali maszyn ciągnęliśmy ręcznie, bo fabryka nie posiadała żadnej własnej siły pociągowej. Maszyny napędzało się parą uzyskiwaną przez spalanie lnianych paździerz w kotłowni. Roszarnia była więc samowystarczalna. Nie spalono w niej nigdy ani grama węgla. Niemcy potrafili oszczędzać. Moją pierwszą funkcją w fabryce było właśnie dostarczanie wody do tej kotłowni. Trzeba ją było pompować ręcznie w małej piwniczce pod stodołą obok kotłowni. Była to praca ciężka. Przez osiem godzin dziennie trzeba było machać dużym kołem zamachowym. Kiedyś pracę tę wykonywał silnik elektryczny, ale w tym czasie Polkowice pozbawione były jeszcze prądu, elektrownia głogowska, zasilająca kiedyś cały powiat, teraz leżała w gruzach, linie zerwane, dużo stacji transformatorowych było zniszczonych. Cały więc dzień z przerwą na obiad i krótkimi odpoczynkami spędzałem w mojej piwniczce. Nigdy nie było dość wody do nienasyconego kotła. W jakiś czas potem, ku mojej radości, pompa zepsuła się. Trzeba było dowozić wodę beczkowitzem ciągniętym własnymi siłami. Praca też ciężka, ale mniej nudna, bo zawsze w towarzystwie ze dwóch jeszcze burłaków.



Stopniowo obowiązki moje urozmaicały się. Pomagałem palaczowi przy paleniu kotła, zastępowałem przy maszynach, pracowałem w stodołach przy obróbce słomy lnianej. Na wiosnę obsialiśmy kilka hektarów pola przyległego do fabryki. Przecież zapasy niemieckie kiedyś się skończą. Co jakiś czas, specjalnie skądś sprowadzonym samochodem, silnym studebakerem odwoziliśmy gotowe włókno lniane i pakuły na stację kolejową w Rudnej-Gwizdanowie. Były to wielkie dni fabryki. Cała załoga pracowała wtedy z zapałem i pełnym poświęceniem. Kiedy liczył się czas, to nikt nie liczył dniówek i nadgodzin. Jak było trzeba, to pracowało się i nocami. Sami załadowywaliśmy nasze produkty do wagonów. Potem ze śpiewem, odkrytym samochodem wracaliśmy do Polkowic. Niezmiennie zatrzymywaliśmy się w rynku w Rudnej, gdzie dyrektor wydawał przyjęcie dla całej załogi. Suty dwudaniowy obiad i coś do wypicia. Odbywało się to w restauracji, bliźniaczo podobnej do tej Błabolego w naszym miasteczku. Dziwne, ale nawet takie okazje nie były powodem do pijaństwa.

Pito z umiarem i raczej symbolicznie. Nam, nastolatkom a było nas kilku, w ogóle alkoholu nie podawano... Atmosfera wśród załogi roszarni zawsze była wspaniała. Na zawsze niezapomniane pozostały dla mnie przerwy w pracy na obiad. Ileż wtedy było wesołości, dowcipów i żartów. Przekomarzanie się z dziewczętami, żartobliwe umizgi i niezliczone kawały. Byliśmy jedną, doskonale zorganizowaną rodziną. Stosunki wszystkich ze wszystkimi były serdeczne i przyjacielskie. Dyrektor był zawsze z nami, na przerwach obiadowych też. Ze wszystkich stron Polski i chyba z całej Europy. Z Bukowiny, Poznańskiego, repatrianci z Francji, z Warszawy, a nawet miejscowi autochtoni. Mimo tak ogromnych różnic kulturowych, obyczajowych a nawet cywilizacyjnych nigdy nie było najmniejszych nawet antagonizmów i tarć dzielnicowych. Niewiele nazwisk moich ówczesnych towarzyszy pracy pamiętam. Niewielka tylko garstka żyje do dziś w Polkowicach. Inni rozsypali się gdzieś po świecie lub wrócili w swoje strony rodzinne, bo przecież Polkowice dla wielu były tylko przystankiem, chwilą wytchnienia na wielkim szlaku wędrówki ludów w powojennej Europie.

Sporo znajomych nazwisk znalazłem też na polkowickim cmentarzu. Twarze innych mającą tylko w pamięci, bez nazwisk, ale uwiecznione jakimś wydarzeniem przy wspólnej pracy.

Praca w roszarni była nie tylko dla mnie wspaniałą przygodą. Były to naprawdę piękne czasy. Biedne, czasem wprost nędzne, ale naprawdę piękne. Nie wiem, dlaczego, ale zawsze kojarzą mi się z pogodnym, wiosennym porankiem.

Jak już chyba wspomniałem, Felek miał starszą od siebie, bo szesnastoletnią siostrę o imieniu Lucia. Zgrabna szatynka o słowiańskiej twarzy, co nadawało jej jakiegoś uroku Wschodu. Ciemne oczy patrzyły zawsze badawczo, jakby właścicielka ich stale usiłowała coś przeniknąć i zgłębić. Podobnie jak Felek Lucia była nad wiek rozwinięta intelektualnie. Z powodu smukłych, zgrabnych nóg nazwaliśmy z kolegami Lucię – sarną. Siostra Felka jakoś unikała towarzystwa dziewcząt, swoich rówieśniczek. Było to dziwne, bo w naszych, polkowickich warunkach nieliczne stadka dziewcząt trzymały się razem. Zależnie od wieku stanowiły kilka zgranych paczek, podobnie jak my, chłopcy. Wydawało się, że Lucia była jakby ponad tym wszystkim, co interesowało młode dziewczęta. Nigdy nie była tak zwaną trzpiotką. A może przyczyną tego osamotnienia, czy może raczej izolacji, była odmienność przekonań religijnych rodziny mego przyjaciela? Lucia też nie chodziła do kościoła... Felek zapoznał mnie z siostrą w dość niecodziennej scenerii. Przedtem długo zwlekał z tym zapoznaniem. Dlaczego? Może czekał aż zupełnie wywietrzeje mi miłość do Andzi, którą mi tak bezpardonowo zabrał a potem porzucił? Pierwsze nasze spotkanie miało miejsce w pustej kamienicy, których było jeszcze w Polkowicach kilka, w pobliżu domu Felka.



Niemalże naprzeciwko budynków Czerwonego Krzyża, gdzie spędziliśmy w Polkowicach naszą pierwszą noc.

Kiedy uroczyście wprowadzony przez Felka wszedłem na piętro budynku, Lucia z jedną swoją koleżanką z sąsiedztwa w pustych pokojach bawiła się w ...ciuciubabkę. Po zdawkowym przedstawieniu się, Felek od razu przystąpił do wspólnej zabawy. Ja stałem jak na rozżarzonych węglach. Z reguły nieśmiały nie odważyłem się przystąpić do zabawy bez wyraźnego zaproszenia...

Ta dość niefortunna znajomość, a raczej niefortunny sposób jej zawarcia, rozwinęła się potem w wieloletnią przyjaźń. Chodziliśmy potem na wspólne spacerunki i prowadziliśmy nawet „poważne” rozmowy i wtedy coraz bardziej poznawałem bogatą w uczucia, duszę Luci.



Oczywiście, jak sporo dziewcząt w tym wieku i Lucia zupełnie lekceważyła sobie cały ród męski. A jednak nie przeszkadzało jej to być pełną wdzięku dziewczyną. Lucia miała jednak w sobie coś, co onieśmiało każdego chłopaka. Luci nie można było lekceważyć i traktować z góry, co niektóre dziewczęta nawet akceptowały. Na pozór, żadnym kobiecym kaprysem nie usiłowała narzucić swojej woli, ale każdy, jakby wbrew własnej woli jej szybko ulegał. Oczywiście, jak to ja – zakochałem się w Luci bez pamięci.

Felek miał rację z tą zwłoką w przedstawieniu mnie siostrze. Zupełnie już nie pamiętałem o bohaterce mojej „serenady”, ale niestety, nie potrafiłem znaleźć drogi do serca Luci. Ta dziewczyna na płaskie komplementy zupełnie nie była łasa. Już na początku naszej znajomości popełniłem kardynalny błąd. Przedstawiłem się Luci z niewłaściwej strony. Znając jej romantyczne usposobienie nie wahałem się odkryć przed nią mojej sentymentalnej duszy. To mnie właśnie, w oczach tej tajemnicznej dziewczyny, zupełnie pogrążyło, jako zalotnika. Lucia, jak się potem okazało ceniła sobie romantyzm, ale u ...siebie. Nigdy zaś u mężczyzny. W mężczyźnie chciała widzieć nieokreśloną bliżej „męskość”, której niestety nie znalazła we mnie.

Aby nie burzyć wszystkiego zaniechałem dalszych zalotów. Moja „miłość” przeobraziła się w piękne uczucie przyjaźni, które przetrwało lata.

Tego lata utarł się między naszą trójką zwyczaj, że codziennie wieczorem wyruszaliśmy z ręcznym wózkiem po trawę dla stadka królików Felka. Trawę rwaliśmy na okolicznych łąkach i w przydrożnych rowach. Były to piękne, sielankowe wieczory. Czasem zapalaliśmy na łące małe ognisko, przegadaliśmy przy nim pół nocy. Na tych wilgotnych, pachnących opadającą mgłą łąkach pod Polkowicami, za dyszłem zgodnie ciągniętego wózka i w ciasnej komórce obok klatek z królikami

snuliśmy przepiękne plany na nasze przyszłe, dorosłe życie i roztaczaliśmy przed sobą cudowne marzenia, nawet zupełnie fantastyczne i nierealne a może, dlatego właśnie tak pociągające, tak upragnione.

Podczas tych letnich, ciepłych wieczorów, trochę dzięki sympatycznym, bogu ducha winnym królikom skazanym na niedzielne obiady, umacniała się nasza przyjaźń. Wiele od tamtych czasów się w naszym życiu wydarzyło. Nasze drogi rozeszły się, aby nigdy już na stałe się nie spotkać, ale tamte wspomnienia w nas zostały. Są silniejsze niż czas.

W spokojnym życiu naszego miasteczka zaszły pewne zmiany. Pewnego jesiennego ranka Polkowice i okoliczne wsie na zawsze opuścili ludzie, którzy przez wieki byli tu gospodarzami. Odjechali Niemcy. Dopiero przed wyjazdem na Rynku, który był punktem zbornym, okazało się, że dużo ich było jeszcze w Polkowicach i okolicznych wioskach. To ci, którzy z różnych powodów nie ulegli ogólnej panice zimą ubiegłego roku i zostali. Niektórzy nawet uciekli, ale potem, widząc bezsens ucieczki w nieznane, po prostu wrócili. Teraz już muszą... Czułem sympatię do tych ludzi i szczerze im współczułem. Zawsze zachowywali się grzecznie i jakby starali się schodzić z drogi Polakom... Przykra mi była ta nawet przesadna grzeczność a często wręcz uniżoność niektórych Niemców. Mnie zawsze było bardzo głupio, jeżeli jakiś starzec albo kobieta czapkował mi nisko i bąkał swoje Guten Tag. Niestety, niektórzy moi rodacy lubowali się w przyjmowaniu takich hołdów. Mnie to zawsze peszyło. Nigdy się przed nikim nie poniżałem i może, dlatego nie mogę znieść czyjegós upokorzenia a zwłaszcza całego, pokonanego narodu. Widząc idącego na przeciw mnie starszego człowieka z białą opaską na rękawie starałem się uprzedzić jego uniżone Guten Tag i zrobić to pierwszy. Noszone przymusowo białe opaski musiały ich peszyć. To zarządzenie naszych władz nie należało do najmądrzejszych. Był to zwykły, prostacki odwet. Niska zemsta. Prawda, że to oni wynaleźli taki sposób znakowania narodowości na lepszych i gorszych, ale czy my musieliśmy przejąć ten „wynalazek”?

Ostatniego wieczoru, poprzedzającego wyjazd Niemców wracałem do domu. W drzwiach na przeciw naszego domu stał nasz sąsiad. Staruszek Niemiec. Mieszkał tu z żoną, również chylącą się do ziemi staruszką. Chyba zawsze byli biedni. Ubogo ubrani nawet w niedzielę a ich domek był chylącą się do ziemi ruiną. Staruszek skinął na mnie abym podszedł, a sam znikł w sieni domu. Zbliżyłem się zdziwiony. Nigdy przedtem nie rozmawialiśmy poza grzecznościowym Guten Tag, które zawsze starałem się wykrzyknąć pierwszy. Wrócił po chwili i wcisnął mi w rękę jakiś tłumoczek, zapewne już wcześniej przygotowany. Może czekał na mnie? Wzbraniałem się przyjąć nieznaną podarunek, ale on pochylił się konfidencjonalnie i półgłosem powiedział kilka zdań. Zrozumiałem z tego, że jutro muszą wyjechać a szkoda zostawić komu innemu. Zanim zdążyłem bąknąć danke, znów zniknął w mieszkaniu.

W zawiniątku były dwie welwetowe kurtki, już przechodzone. W jednej widywałem go w chłodniejsze dni. Sąsiad musiał obserwować mnie od dawna. Widział, że moja poza się Boże „garderoba”, nawet wyjściowa nie zasługuje na takie miano od niepamiętnych czasów...

Nosiłem potem te jego kurtki, nikomu, nawet Felkowi nie mówiąc o ich pochodzeniu. Rodzina też nie wiedziała. Różne przecież przynosiłem do domu łachy i nosiłem. Kurtki były ciepłe i jakieś przytulne. Staruszka już dawno nie było w Polkowicach a ja wciąż jeszcze czułem zapach jego ciała, którym była przesiąknięta i takie właśnie ciepło sprawiające miłe uczucie, czego nie można nazwać w ludzkim języku. Może fluidy duszy tego starego człowieka, które zostały w Jego mieście?

Około południa długi sznur furmanek eskortowanych przez milicjantów i ormowców ruszył w ulicę Legnicką. I wtedy zdarzył się ten nieszczęśliwy wypadek, przez nikogo zresztą niezawiniony. Jakaś staruszka, tak niefortunnie spadła pod koła ciężkiego wozu taborowego, że dosłownie



zmiażdżyły jej głowę. Po drodze, przy wylocie z miasta był cmentarz ewangelicki... Ona została w Polkowicach, mieście, które być może było jej miastem rodzinnym gdzie potem przeżyła całe swoje długie życie. Jakże potem była samotna, leżąca na posadzce kaplicy cmentarnej w tym „swoim” mieście.

Zostaliśmy sami, my, Polacy. Co czuli oni, Niemcy?

Chyba wiem i dlatego ich rozumiem. Rozumieli też inni, ci, którzy nie tak dawno jeszcze opuszczali na zawsze swoje miasto rodzinne, swoją wieś, swój kraj. W miasteczku zostali jeszcze ksiądz, piękna Maria i stolarz Johan, ożeniony z Holenderką. Ksiądz Johannes Doering od wielu lat był katolickim proboszczem w Polkowicach. Dziwny człowiek. Ogarnięty ogólną paniką ubiegłej, strasznej dla Niemców zimy uciekł z innymi polkowiczankami, ale jesienią powrócił. Dlaczego? Czy zwyciężyła powinność kapłańska? Służbę duszpasterską sprawował teraz dla garstki Polaków, którzy napłynęli do miasta niemal z całego świata.



Podobno nawet ta mała trzódka była większa od wcześniejszej, niemieckiej, bo znaczną większość stanowili tu ewangelicy. Siwiutki o dobrotliwej twarzy staruszek bardzo przejmował się rolą polskiego księdza. Usilnie starał się nauczyć języka swoich nowych owieczek a trzeba wiedzieć, że był to już jego siódmy język, którego się uczył. Polkowice nigdy już potem nie miały takiego księdza poliglotty. Kiedy jednak opuszczał Polkowice udając się do brata w Niemczech Zachodnich, bodajże

w 1951 roku, to mówił już zupełnie dobrze po polsku. Pierwsze miesiące były jednak trudne. Ksiądz nauczył się na pamięć kilka podstawowych modlitw, ale kazania czytał jeszcze z kartek przygotowanych przez działaczki parafialne, do których



oczywiście, podobnie jak w naszym Stanisławowie należała nasza babka. Były to kazania telegraficznie wprost krótkie i nie zawsze zrozumiałe.

Staruszek tak straszliwie kaleczył mowę Mickiewicza, że w innych okolicznościach i w innym miejscu, słuchacze pękali by ze śmiechu. Nikt się

jednak nie śmiał. Ksiądz za swój upór i dobre, szczere chęci cieszył się ogólną sympatią nowych polkowiczian, nie tylko zresztą katolików. Przedstawiciele władz i partii też wyrażali się o nim z szacunkiem. Ta nieznamość polskiego u naszego proboszcza miała też i dobre strony, zwłaszcza dla nas młodzieży i dzieci. Jak ksiądz nie rozumiejąc naszej spowiedzi mógł ocenić „ciężar” wyszeptanych mu przez okienko konfesjonału grzechów? Pokuta, którą wyznaczał, też nie zawsze można było odcyfrować i na pewno nie była współmierna do naszych „zbrodni”. Druga z osób, która jeszcze została w Polkowicach była piękna Maria. Piękna kobieta. Około trzydziestki a więc dla nas, nastolatków już „stara”, ale i nas, podobnie jak całą męską połowę mieszkańców urzekła swoją urodą. Smukła, wyniosła sylwetka na zapierających dech w piersiach hollywoodzkich wprost nogach. Niebieskie jak niebo oczy i długie, falujące złocistorude włosy, jakby podkreślające swą barwą rzadko rozsypane, urocze piegi na delikatnej, subtelnej twarzy. Uśmiech Marii, którym obdarzała każdego napotkanego przechodnia, mógł przyprawić o zawrót głowy. Maria od święta pełniła funkcję ...organisty w naszym kościele i być może dlatego pozwolono jej jeszcze zostać. Nigdy już potem organy starego kościoła nie wydobyły z siebie tak pięknych i czystych tonów. Jakby piękna, tajemnicza organiścina zabrała ich duszę ze sobą. Nikt nie wiedział, kim jest Maria Langner i skąd przybyła, bo nie była stałą mieszkanką Polkowic. Kto wie, może w tym pięknym ciele kryła się wybitna i znana w świecie pianistka, którą losy wojny zagnały do tej miściny?

Trzecim Niemcem, który jeszcze pozostał, był stolarz Johan. Mieszkał w małym domu nieopodal nas, gdzie miał też swój warsztat. Miał żonę Holenderkę i kilkumiesięczne dziecko. Johan to rzadki okaz wśród poznanych dotąd Niemców. Już przed wojną był komunistą. Musiał mieć dobrze udokumentowaną przeszłość,

bo został przyjęty do Polskiej Partii Robotniczej, co już było ewenementem. Johan najprawdopodobniej nigdy nie wyjechał do Niemiec. W kilka lat potem przeniósł się gdzieś na Śląsk i słuch o nim zaginął.

Jeżeli ja tylko na odległość mogłem razem z innymi podziwiać piękną Niemkę to szczęściarz Felek miał z niemiecką dziewczyną coś w rodzaju romansu. Przy ulicy Bieruta, obok budynku gminy, w którym notabene od jesieni przyszłego roku będziemy mieszkać, stoi duży warsztat mechaniczny i naprawy samochodów. Dwa



budynki typu fabrycznego, podwórze a od ulicy duża, żelazna brama, nad którą wciąż jeszcze widniał kuty w żelazie szyld poprzedniego właściciela „Waldemar



Rebs”. Właśnie z urodziwą córką tego Rebsa kilkunastoletnią Elzą związana jest romantyczna historia pierwszej dziewczyny mego przyjaciela. Było to chyba jeszcze w ubiegłym roku, bo kiedy poznaliśmy się, nic mi Felek o niej nie mówił. Zwierzył się kilka miesięcy później, kiedy nasza przyjaźń okrzepła na tyle, że mogła wytrzymać największe tajemnice. Pierwsze spotkanie przez siatkę ogródka było przypadkowe. Dziewczyna była wystraszona jak wszystkie młode Niemki, na które po latach dzieciństwa w świecie Herrenvolku, zważyło się tyle okropności. Ucieczka wojsk niemieckich z Ziemi, która dla niej zawsze była niemiecka, obcy, źli żołnierze i obcy ludzie w mieście, którzy pojawili się niewiadomo skąd i po co, nieznaną język, białe opaski, niepewność jutra, nierzadko i gwałty na starszych koleżankach. To było za wiele jak na takiego podlotka w małym miasteczku, dokąd wszystkie wieści przychodzą zawsze później.

Nie wiadomo jak Felek tego dokonał, że zdobył zaufanie spłoszonej dziewczyny? Na pewno pomogła mu w tym dość już dobra znajomość niemieckiego, którego nauczył się podczas przymusowego przebywania z rodzicami na robotach. Tak, ale czy tylko to? Może też wrodzony memu przyjacielowi dar, umiejętności „podrywania”? Przecież tak łatwo wprost niepostrzeżenie odebrał mi Andzię... Tak, więc od słowa do słowa zrodziło się zaufanie, przyjaźń a potem podobno nawet miłość. Nie trwało to długo, bo miłość w tym wieku nigdy nie jest długa, zwłaszcza w czasach, które być może nadawały się do wszystkiego, ale naprawdę nie

do miłości polskiego chłopca z niemiecką dziewczyną. Rebsowie właśnie wyjechali z wszystkimi Niemcami. Czy Felek pożegnał się z Elzą? Może od dawna się nie widzieli. Może po prostu zmęczyła ich ta ukrywana miłość? Felek niechętnie o tym mówił. Raz tylko wyznał mi tę prawdę, jakby zrzucał jakiś ciężar i nigdy nie wracaliśmy do tego tematu.

Wiadomo, że pierwszym kolegą a później jedynym w Polkowicach przyjacielem był mi Felek. Poza współpracownikami w Roszarni poznałem i innych kolegów. Towarzystwo nasze było zbieraniną, jak wszystkie zresztą w Polkowicach. Tadzio z liczną rodziną piekarzy pochodził z Pińska. Mundzio i Julek z Bukowiny a dwóch Cześków „Biały” i „Czarny” z Poznańskiego. Stanowiliśmy dość zgraną paczkę, ale dzieliła się na takie dość widoczne „frakcje”, zwłaszcza dwie ja i Felek to jedna a Tadzio i Julek to druga. Te pary jakby się lepiej rozumiały, miały te same myśli i zawsze się wspierały.



Kiedy dopuściliśmy ich z Felkiem do naszych tajemnic na szronowskich pobojowiskach – poczynaliśmy tam sobie coraz śmiejiej, czasem wręcz do absurdu, jak było z tym wypadkiem Tadzia. Punktem zbornym naszej „bandy” był mój pokoik na poddaszu, do którego się w międzyczasie przenieśliśmy. Towarzystwo było wybitnie męskie. Obecność żadnej spódniczki nigdy nie zbecześciła naszej świątyni Marsa.

Kiedy nadeszła zima, gromadziliśmy się przy piecu gdzie huczał ogień podsycany rąbanymi stołami, łózkami i krzesłami, których zatrząsienie było we wszystkich kątach strychu. Przyjemne to były wieczory. Za oknem mróz, w pokoju półmrok, bo nie zapalaliśmy światła, siedzieliśmy przy otwartych drzwiczek pieca. Po naszych twarzach skaczą czerwone refleksy ognia, podsycające i tak już nasze rozgorączkowane twarze. Opowiadamy, marzymy, snujemy plany na przyszłość. Jeden z nas nie ukończył jeszcze osiemnastu lat, ale zapas wspomnień często za staruszka. Każdy coś przeżył, coś widział, czymś się przejął.

Dziwne było to nasze pokolenie dusze i marzenia niemal jeszcze dziecięce a doświadczenia życiowe już bardzo dorosłe. Wszyscy marzyliśmy o wojsku, walce i wojennych przygodach. Felek zawsze był „lotnikiem”, ja marynarzem a Tadzio bodajże czołgistą. Nie mieliśmy innych pragnień. Przecież wszystkie nasze młodzińcze lata od krótkich spodenek zawsze w jakiś sposób związane były z wojną, wojskiem, bronią i mundurami. Zawód żołnierza był najbardziej powszechnym i najlepiej znanym. Dlatego chcieliśmy być żołnierzami. Za dziwaka uznaliśmy tego, który oświadczyłby nagle, że chce być lekarzem, inżynierem czy choćby rzemieślnikiem. Nasza paczka naprawdę była zgrana. Nigdy żadnych kłótni,

nie mówiąc już o bójkach. Nawet te „polowania” na Felka, do których namówiłem kolegów to były takie na niby...Nie wiedzieliśmy, co to chuligaństwo i wandalizm. Jedyńm złem, jakie czasem wyrządzaliśmy to były nasze eksplozje, nie zawsze w odpowiednim miejscu, ale nigdy nie powodowaliśmy żadnych zniszczeń. Nikomu na przykład nie przyszło do głowy rzucać kamieniem w szybę pustego domu a było takich jeszcze dużo.

W letnie wieczory lubiliśmy wziąć się pod rękę i maszerując pustymi ulicami wyśpiewywać cały nasz repertuar piosenek wojskowych i partyzanckich.

Piękne to były lata...

Marzenia Felka o motorach w polkowskich warunkach można było w tym czasie spełnić tylko w PGR, wówczas jeszcze Państwowe Nieruchomości Ziemi na Dolnych Polkowicach. Felek zaczął tam pracować i od bodajże pierwszego dnia bez żadnego przygotowania, szkolenia i kursu usiadł na traktor i ...pojechał. Miał to już we krwi...



Praca w Roszarni nie dawała mi już zadowolenia. Najczęściej pracowałem w polu, przy zwózce i obróbce lnu. Wciąż nie miałem określonego stanowiska czy konkretnej funkcji. Wciąż byłem chłopcem do wszystkiego, jak kiedyś w Stanisławowie w Polskim Komitecie Opiekuńczym. Rzuciłem, więc roszarnię bez żalu i dołączyłem do mego przyjaciela. Tak zostaliśmy traktorzystami...

W Gospodarstwie było kilka traktorów niemieckich i kilka otrzymanych z UNRRA. Różne Casse, Ferguson, Farmal Empire. Brakowało tylko traktorzystów. Każdy, kto choć trochę umiał kręcić kółkiem i dodawać gazu mógł zostać traktorzystą. Nikogo nie pytano o prawo jazdy. Tak było w przypadku Felka. Chłopak po prostu wsiadł i pojechał...

Po miesiącu był już najlepszym traktorzystą w zespole PGR. Ja zaś przez pewien czas odbywałem swój staż siedząc w kucki za siedzeniem Felka, jako jego pomocnik. Felek prowadził traktor a ja doglądałem tego, co ciągnęliśmy za sobą, zależnie od pory roku pług, siewnik, snopowiązałkę, kopaczkę ziemniaków lub po prostu przyczepę. Po jakimś czasie kierownik uznał mnie za godnego już własnej maszyny. Na początek, jakby pragnąc raz na zawsze zniechęcić mnie do motoryzacji dał mi ogromnego i ciężkiego jak czołg niemieckiego Lanz Bulldoga na kołcach. Na tym traktorze zerżnięto potem nasze pierwsze Ursusy.

Boże drogi, co to było za złośliwe bydlę, zwłaszcza przy zapalaniu. Nie trwało to długo, bo już wkrótce przesiadłem się na zgrabnego, czerwonego Casse, który po Lanzu wydał mi się cudowną, wyścigową limuzyną.

Podczas mojej kilkumiesięcznej pracy za kierownicą dość dobrze poznałem technikę jazdy i tajemnice silnika. Oczywiście nigdy nie dorównałem Felkowi, ale samodzielnie już wykonywałem wszystkie prace polowe a nawet jeździłem w transporcie po szosach, do którego dopuszczono tylko dobrych traktorzystów z prawem jazdy, którego nigdy nie zdobyłem...



Wybór drogi

Jak wiadomo w styczniu 1947 roku odbyły się pierwsze po wojnie wybory do sejmiku. W tym czasie pracowałem jeszcze w roszarni. Już na kilka dni przedtem pełniłem w fabryce warty robotnicze. Otwarcie tak zwanych wrogich elementów w Polkowicach nie było. Takich, które mogłyby, zresztą nie wiadomo, po co podpalić nas, ale jak to się mówi strzeżonego Pan Bóg strzeże. Władza jednak liczyła bardziej na postawę naszej malutkiej klasy robotniczej niż boską opiekę... Przez kilka dni cała męska załoga nie opuszczała fabryki. W dzień normalna praca a na noc zamienialiśmy stołówkę na wartownię a raczej wartowniczy biwak, bo spaliśmy tam pokotem na ławkach, stołach a komu nie starczyło miejsca wprost na podłodze. Najczęściej nam, młodym tego miejsca brakowało...

Dwaj nasi etatowi strażnicy przemysłowi pełniący stale służbę przy bramie byli już na tyle znudzeni swoją monotonną pracą, że chętnie godzili się na zastępstwo. Ja z Poldek z Trzebic tylko na to czekaliśmy... Kiedy tylko wartownik ziewając straszliwie niedbałym ruchem oddawał mi karabin a sam spieszył do stołówki, aby wcisnąć się tam między rozgrzane ciała, zarzucałem broń na ramię i zaczynałem miarowy, wartowniczy spacer koło bramy. Legalną broń. Nie taką, którą trzeba chować przed ciekawskim okiem, kiedy chadzało się strzelać na szronowskie pola. Podczas tych wartowniczych spacerów marzyło się nawet, aby z ciemności nocy wyskoczył jakiś wróg. Widziałem już siebie jak walę ze swojego mauzera... To nic, że siarczasty mróz i zamieć, która przenika na wskroś moją nędzną kurtkę po jakimś niemieckim grenadierze, że lodowate zimno szczypie palce u nóg w podartych butach. Byłem żołnierzem. Piękne to były noce. Mógłbym tak wartować do świtu gdyby nie Poldek, który regularnie, co cztery godziny brał część naszego szczęścia....

Wiosną 1947 roku wstąpiłem do OMTURU, czyli Organizacji Młodzieżowej Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, związanych przed wojną z PPS. Obecnie jest to jakby młody narybek tej partii, podobnie ja Związek Walki Młodych jest takim samym odpowiednikiem dla PPR. Wstąpiłem do tej organizacji, bo mama wstąpiła do PPS. Przyjaciel domu, obecny wójt gminy Polkowice pan Sobczak tak mamie doradził. Trzeba gdzieś należeć a przecież PPS jest ...mniejszym złem od PPR.



Po raz pierwszy w Polsce kroczyłem w pochodzie pierwszomajowym. Biedne były jeszcze te ówczesne pochody. Gdzie im tam do późniejszych, napuszonych manifestacji. Skromne, jakby nieśmiałe, ale właśnie tamte pochody wydały mi się bardziej prawdziwe i szczerze. Ludzie jeszcze nie musieli, ale już w pochodach chadzali. Naprawdę dobrowolnie.

I to były też piękne czasy...

Wczesną jesienią tegoż 1947 roku przenieśliśmy się do naszego nowego domu. Nasza kamienica koło poczty, choć obszerna i wygodna była dość ponura i mroczna. Zwłaszcza babka czuła się tam źle.



Polkowice w tym czasie pozbawione już rangi miasta, którym były od 1265 roku. Zniesiono urząd burmistrza i Zarząd Miejski, czyli magistrat. Po Zarządzie gminnym, który przeniósł się teraz do ratusza został ładny budynek, willa przy ulicy Bieruta właśnie obok warsztatu mechanicznego tego to Waldemara Rebsa, gdzie mój przyjaciel na pewien czas umieścił swoje młodzińcze serce...

Dzięki nieocenionemu Sobczakowi, który teraz „panował” już nie tylko nad gminą, ale i dawnym miastem, mamie bez trudu udało się otrzymać zgodę na zajęcie całego domu na tak zwany dom nauczycielski. Na razie mieszkamy tam sami, ale przecież kiedyś chyba przyjadą do Polkowic i inni nauczyciele.

Dom jest naprawdę ładny. Jedno skrzydło piętrowe, drugie parterowe, ale z wysokimi poddaszami, wykorzystanymi na pokoje. Od ulicy ganek i malutki ogródek kwiatowy. W domu są trzy mieszkania po trzy pokoje z kuchnią i pokój

z kuchnią na poddaszu. No i oczywiście, jak w większości niemieckich domów, budowanych na przełomie wieków i wcześniej, cały labirynt komórek, stryszków, schowków i wnęk. Każdy kąt w takim domu jest wykorzystywany do granic możliwości. Na przykład w nowym naszym domu powierzchnia pod schodami na strych wykorzystana była i jest na skrytkę różnego sprzętu porządkowego, różne szczotki, miotły, szufelki i wiadra.

Zajęliśmy całe piętro wraz z poddaszem. Poddasze ja zarezerwowałem dla siebie. Był tam duży pokój i mała kuchnia. W przyległych komórkach złożyliśmy z Felkiem cały nasz „arsenał” broni, amunicji i sprzętu wojskowego. Okna mego pokoju wychodziły wprost na odległy o metr dach warsztatu Rebsa, co miało tą dobrą stronę, że wystarczyło zrobić krok, aby mieć doskonałe, zasłonięte od ulicy miejsce do opalania.

Umeblowałem się w dziwnym, eklektycznym stylu z końca wieku. Między oknami stało, chyba nigdy nieruszane od czasów poprzednich właścicieli ogromne, rzeźbione biurko, podobne do ołtarza. Niezliczona ilość szufladek, szuflad i nawet sekretnych skrytek, które odkryłem znacznie później. Niestety, nie było w nich żadnych skarbów. Były po prostu puste. Właściwie był to bardziej sekretarzyk niż biurko. Mógł stać tylko pod ścianą. Myślę, że musiało mieć sporą wartość, jako mebel zabytkowy, ale kto wtedy o tym myślał?



Pod ścianą dwie, oszklone szafy. Jedna biblioteczna, druga przystosowana była do przechowywania broni myśliwskiej. Nad stołem o rzeźbionych misternie nogach ciężki żyrandol wykonany ze splecionych ze sobą jelenich rogów.

Zresztą, rogów i wszelkiego rodzaju myśliwskich trofeów było na tym poddaszu zatrzęsienie. W jednej z komórek znalazłem nawet biało-zielony, ciężki od złotych haftów sztandar związku łowieckiego.

W całym domu w pustych mieszkaniach na dole, na strychu i w komórkach stopy książek i albumów fotograficznych. Zarząd Gminy, który tu rezydował, zajmował tylko dwa albo trzy pokoje i wszystko, co u nich zastał, zgromadził w pozostałych. Z tych zdjęć i dokumentów dowiedzieliśmy się, że mieszkał tu lekarz z liczną rodziną, wśród której były dwie śliczne dziewczyny. Mieszkał też jakiś miejscowy dygnitarz. Mój pokój bardzo mi się podobał. Jak na poddasze był dość duży i miał normalne, proste ściany i sufit, nie jak to bywa na poddaszach. Skośną ścianę miał za to drugi pokój, który nie wiadomo, dlaczego nazywaliśmy kuchnią. Był mniejszy. Wychodzące na wschód okna rozmieszczone były symetrycznie i stało między nimi wspomniane biurko-ołtarz, czy jak kto woli sekretarzyk.

Do spania wykorzystałem już pierwszej nocy stojącą w pokoju wąską, ale bardzo miękką kozetkę, z której niestety, ktoś zdarł aksamitne obicie. Była, więc zupełnie biała, obciążnięta tylko płótnem. Wcale mi to nie przeszkadzało. Moje łóżko w poprzednim mieszkaniu było bardzo twarde. Za naszym nowym domem było duże podwórze z kilkoma komórkami i spory, stary sad a za nim kawałek ogrodu, gdzie można było uprawiać warzywa.

Nowe mieszkanie najwięcej radości przyniosło babce. Miała znów sad, ogród, dużo zielonej przestrzeni i jasny, słoneczny pokój z oknami od południa. Na Pocztowej staruszka czuła się bardzo źle. Dusił ją ponure mury, bez źdźbła trawy. Wciąż wzdychała do swoich stanisławowskich przestrzeni. Nie potrafiła zaaklimatyzować się w nowych warunkach i zupełnie obcej jej cywilizacji a nawet obcej kulturze, bo nawet jej zdaniem kościół był tu inny i jakby obcy. Trudno nawet powiedzieć, że babka tu żyła. Wszystkie jej myśli, wspomnienia i tęsknoty zostały tam, gdzie na cmentarzu został jej mąż i dwie córki i został ukochany, wypieszczony dom pośród zielonych sadów i ogrodów. Babka nie odczuwała żadnej więzi z nową Ziemią. Była przeszczepem, który nie chce się przyjąć, wegetuje i usycha. Staruszka do końca swoich dni marzyła, a co najtragiczniejsze, wierzyła, że wróci tam...

W Polsce czuła się jak na chwilowym, przymusowym wysiedleniu, jak wtedy, w 1940, kiedy na rozkaz władzy radzieckiej za przeszłość dziadka w polskiej policji musiała razem z nim i chorą na gruźlicę córką opuścić swój dom i zamieszkać u rodziny pod Stryjem.

Tak właśnie czuła się i teraz. Podejrzewam, że babka nawet do końca się nie rozpakowała...

Może teraz, w nowym domu poczuje się lepiej? Taką nadzieję miała mama, ale niestety, nie sprawdziła się. Tylko dlatego, przez tą niczym nieuzasadnioną, maniacką wprost wiarę w powrót, nie chciała przyjąć oferowanego jej przez Gminę domu na własność za tamto, pozostawienie mienie. Panicznie bała się oddać dokumenty własności utraconego majątku, bo wierzyła, że wróci i co zrobi bez tych papierów? Zostały te papiery. Do dziś gdzieś tam leżą w kącie u mamy w Polkowicach. Gruba paczka, starannie owinięta w szary papier i dokładnie, na krzyż przewiązana sznurkiem.

Nadzieja i wiara biednej, starej kobiety, której nie chciała zamienić na trwały kawałek rzeczywistości. Babki nigdy nie było w Polkowicach. Ona nigdy nie opuściła Stanisławowa. Kiedy po latach umierała dla świata, ostatnimi przebłyskami świadomości były wspomnienia o tamtych ludziach i tamtej Ziemi.

Funkcja, podobnie jak nieszczęścia chodzą parami. Sam nawet nie wiem, kiedy i dlaczego zostałem ORMO-wcem? Była to już jesień 1947 roku. W tym czasie ORMO w Polkowicach było organizacją dość liczną. Poza tym było bardziej widoczne, niż OMTUR, który zajmował się jakąś działalnością społeczną. O ZWM i WICI tylko się słyszało, że gdzieś tam istnieją. OMTUR miał nawet własny lokalik przy sali kina.

Na czterech etatowych milicjantów z komendantem Sobczykiem przypadało przypadało kilkunastu ORMO-wców.

Chyba pierwszym w Polkowicach komendantem posterunku MO był młody chłopak, może z partyzantki, ale nie służył nigdy w „normalnym” wojsku i może dlatego nosił się zawadiacko jak przedwojenny ułan. W tym też czasie mieliśmy we władzach miasteczka jeszcze innego wojskowego. Był to były oficer Armii Kościuszkowskiej. Lubił wypić, a jak sobie popił, miał zwyczaj stawać na schodach ratusza, gromko wykrzykiwał komendy dla całej armii, trząsał obcasami i wałęsał w dach, przyjmował wyimaginowane defilady. Zawsze chodził w mundurze, przy wszystkich orderach i medalach. Był w Polkowicach drugim burmistrzem aż do likwidacji miasta. Jeżeli dla burmistrza mundur był już jakby drugą skórą, noszoną z niedbałością starego wiarusa, to komendant milicji traktował go jak złoconą wizytówkę. Nawet w sposobie noszenia czapki starał się podkreślać nonszalancką „wojskowość”, a nawet „groźność”. Najczęściej spotkać go można było szalejącego na motocyklu między wąskimi uliczkami miasteczka.



*Opaska ORMO nomina pure
Zbigniew Rajda w 1947-1948.*

Na początku 1947 roku komendantem został fachowiec z prawdziwego zdarzenia, bo przedwojenny plutonowy policji Sobczyk. Pracował spokojnie, lecz solidnie i uczciwie aż do czystek w milicyjnych szeregach z przedwojennych policjantów. Na posterunku było jeszcze kilku wiecznych milicjantów, którzy przetrwali swych komendantów, burmistrzów i referentów UB. Stateczny były górnik z Francji Figas, młody autochton, zawsze zaśliniony i niemal bezzębny, ale bardzo dobroduszny Kot. Potem doszedł jeszcze kapral Kaliński, któremu spora część mężczyzn zazdrościła pięknej żony. Ormowców było jak wspomniałem kilkunastu. Rola ormowca bardzo przypadła mi do gustu. Teraz miałem już legalną broń, nie tylko na warcie pod fabryką. Polubiłem patrole w terenie w towarzystwie milicjantów. Po kilkanaście kilometrów w deszcz, słońcu i zimowe zamiecie pedałowaliśmy na rowerze objeżdżając dużą gminę Polkowice. Czasem szło się pieszo, zawsze z karabinem na pasie. Kiedy pierwszy raz wyruszyłem na taki patrol, nie przeczuwałem nawet, że od tego dnia losy całego mojego zawodowego życia związane już będą z mundurem i noszeniem broni. W tam czasie więcej nocy spędziłem na posterunku niż we własnym łóżku. Oprócz patroli mieliśmy swój udział również w innych odpowiedzialnych zadaniach. Asystowaliśmy przy aresztowaniach, przesiadywaliśmy na zasadzkach na ukrywających się przestępców, głównie szabrowników i złodziei, a nawet ścigaliśmy uzbrojonych bandytów. Konwojowaliśmy aresztantów do Komendy w Głogowie, zabezpieczaliśmy zabawy i przeprowadzaliśmy kontrole drogowe. Normalna, milicyjna służba.

Wkrótce staliśmy się zgraną paczką dobrych kolegów. Udało mi się wciągnąć do ORMO również Tadzia i Mundzia. Felek jakoś nie kwapił się do tej służby, czy też jak to w moim przypadku bardziej rozrywki. Choćby nawet i chciał, to był niestety za młody.

W ORMO żyliśmy nie tylko służbą. Można dziś zaryzykować twierdzenie, że drużyna ormowska była w tym czasie najbardziej żywotną organizacją w Polkowicach. Bardziej nawet niż OMTUR.

Poza służbą zajmowaliśmy się różnego rodzaju pracą społeczną a nawet kulturalną. Między innymi doprowadziliśmy do stanu używalności basen kąpielowy, pozbawiony wody jeszcze w czasach niemieckich. Była też działalność dosłownie kulturalna. Ktoś kiedyś rzucił myśl, że warto byłoby wystawić jakąś sztukę teatralną. Wszyscy podchwycili pomysł. Tak powstał pierwszy w Polkowicach teatrzyk amatorski. Wystawiliśmy wprawdzie tylko jedną sztukę, ale nie przeszła ona bez echa, słyszanego przez wiele lat później. Ludzie długo pamiętali ormowski „teatr”. Reżyserem, scenografem i w ogóle duszą zespołu została oczywiście moja mama. Sztukę wybraliśmy łatwą do grania, niezbyt długą i na czasie, co w danej chwili było bodajże najważniejsze. Ludzi w Polkowicach nie interesował wtedy jeszcze Szekspir czy jakiś inny wielki Molier, bo o nich po prostu nigdy nie słyszeli,

w każdym razie większość ówczesnej ludności. Sztuka powinna być o naszych czasach i mówić o aktualnych problemach Polaków.

Nie pamiętam już nazwiska autora dramatu, ale tytuł miał „Baśka”. Była to trzyaktowa opowieść o czasach okupacji. Okrutny gestapowiec zakochuje się na zabój w pięknej Polce – Basi, która mieszka ze starym ojcem. Wszystkie gestapowskie amory odbijają się jak od skały od patriotycznego serca dziewczyny. Niemiec prosi, potem straszy i wrzeszczy, aż w napadzie szału zabija bezbronny staruszek. Chce zabić i Basię, ale w tej chwili wpadają partyzanci pod wodzą narzeczonego wiernej ojczyźnie i swemu chłopcu dziewczyny. Niemiec oczywiście ginie. Radość, pocałunki, czyli cały happy end. Jest też scena leśnego biwaku partyzantów wokół płonącego ogniska, jest czujna łączniczka, koleżanka Basi i wiele drobnych epizodów. Treść, dziś na pewno mogłaby wydawać się naiwna i banalna, ale w tamtych czasach, kiedy na zabawach nie śpiewało się jeszcze „góralu...” tylko „Rozszumiały się wierzby płaczące” i inne wyłącznie wojskowe i partyzanckie piosenki, a „Czerwonych maków...” nie wolno było tańczyć w obawie o tęgie lanie patriotycznie nastawionych chłopców. W tamtych czasach sztuka nasza była na czasie. Chwytała za serce, wzruszała i przywracała własne wspomnienia, być może bardzo podobne do tych ze sztuki.

Mimo niezbyt wielkich talentów aktorskich naszego zespołu potrafiła nawet wyciskać łzy.

Rolę tytułową bez wahania powierzyliśmy siostrze Felka Luci. Gestapowca zagrał Tadzio, dowódcę partyzantów przystojny Janek, a łączniczkę konspiracyjną Reginka. Kilkuosobowa grupa, wśród nich i ja odtwarzała partyzantów.

Z rekwizytami teatralnymi nie było kłopotów. Mieliliśmy przecież prawdziwe karabiny, każdy miał jakiś mundur a o niemiecki dla Tadzia też nie było trudno. Miał nawet autentyczną czapkę SS-mańską.

Próby ciągnęły się ponad miesiąc. Było trudno. Mama zdzierała sobie gardło, aby zrobić z nas „prawdziwych” aktorów. Jakoś poszło. Próba generalna i którejś niedzieli w Sali OMTUR odbyła się nasza premiera. Początkowo było trochę zgrzytów i fochów „aktorek” jak to wśród pierwszych dam sceny bywa w każdym teatrze, ale kiedy kurtyna rozsunęła się – weszliśmy w swoje role. Tylko one się już liczyły. Sceną po scenie, aktem po akcie potęgowaliśmy entuzjazm pełniutkiej Sali. Kiedy nastąpił finał, kiedy partyzanci wpadają na scenę i hitlerowiec ginie, sala szalała. Ludzie z płonącymi twarzami zrywali się z miejsc i walili brawa. Ktoś nawet wrzasnął „Dobrze mu tak sukinsynowi! Niech zdycha! Polki mu się zachciało!”. Sukces był nadspodziewany. Ja za swoją rolę partyzanta, a więc jednego z kilku i króciutką kwestią przy ognisku przeszedłem oczywiście niezauważony, ale Lucia i Tadzik zbierali laury pierwszych gwiazd sceny. Jeszcze w rok później wielu ludzi nie zwracało się do Luci inaczej jak Baśka. Oboje zrobili nam wspaniałą niespodziankę, bo jeszcze na próbie generalnej nie spodziewaliśmy się, że aż tak potrafią wczuć się w swoje role.

Lucia, dumna, pełna godności a przy tym bardzo sentymentalna o niezłomnym sercu. Tadzik zaś cyniczny, odrażający wprost gestapowiec. W niektórych momentach twarz jego pałała taką nienawiścią, oczy ciskały błyskawice, że można było podejrzewać, że on nienawidzi naprawdę.

Dwa czy trzy razy zagraliśmy w Polkowicach a potem rozpoczęło się nasze triumfalne „tournée” po całym powiecie. Graliśmy w Głogowie, w Kotli, w Komornikach i kilku innych większych wioskach powiatu głogowskiego. Cała zima zeszła nam na tych wożach. Wszędzie sukcesy, brawa i entuzjazm tłumów. Wszędzie sale pękały wprost w szwach. Tak ludzie byli spragnieni jakiejś kulturalnej rozrywki. Nawet w wydaniu kilkunastu ormowców. Nie obeszło się też bez przygód i zabawnych incydentów. Przy końcu trzeciego aktu gestapowiec strzela do ojca Basi. Musiały być prawdziwe strzały a nie jakieś tam walenie w patelnię. Tadzik „strzelał” z prawdziwego parabellum. Rozwiązaliśmy to bardzo prosto. Komendant Sobczyk stawał za sceną na wysokości Tadzika i na dany znak strzelał do wiadra z piaskiem. Zawsze udawało się zgrać udany strzał Tadzia z prawdziwym za sceną. Dopiero w Kotli... Sobczyk czeka ze swoim Visem wymierzonym w wiadro. Jest znak, naciska spust i ...nic. Pistolet zaciął się. Tadzik czeka z wyciągniętym pistoletem, ale jak długo można czekać? I w tym momencie Tadzio okazał się artystą o doskonałym refleksie. Zaklął straszliwie „Donnerweter” – zaciął się – „Schweine reine” – i zaczął szamotać się ze swoim pustym przecież pistoletem. W tym czasie komendant usunął niewypał. Nowy znak i westchnienie ulgi – strzał. Starzec ginie... Innym razem wracaliśmy z Głogowa wynajętą ciężarówką. Tuż przed Hermanowem, dziś Jerzmanową, silnik stanął. Kierowca pół godziny klął nad otwartą maską. Co mógł biedny zrobić ciemną nocą na zasypanej śniegiem szosie, gdzie samochody pojawiają się raz na kilka godzin?

Ruszyliśmy pieszo. Dobre kilkanaście kilometrów z naszymi karabinami na pasach, aż do Polkowic. Nasza „reżyser” twardo szła z nami, mimo że Sobczyk chciał załatwić jej nocleg w Hermanowie.

Takie to było nasze życie ormowców – artystów. Trudne, czasem nawet bardzo trudne, trochę nędzne, ale zawsze wesołe, pełne optymizmu, wiary, że przecież wszystko jest jeszcze przed nami. Byliśmy na początku jakiejś drogi i trudno było nawet wyobrazić sobie, co znajdziemy u jej kresu? Byliśmy jednak pewni, wierzyliśmy, że będzie to coś bardzo pięknego i radosnego.

Cóż, byliśmy wszyscy tacy młodzi. Nawet mama i przedwojenny policjant Sobczyk byli młodzi, przede wszystkim duchem i marzeniami.

Powołanie?

Pewnego wieczoru wiosną 1948 roku komendant zwołał na posterunku zbórkę wszystkich ormowców. Rozsiadliśmy się w gabinecie Sobczyka, półkolem za biurkiem i z zainteresowaniem przyglądaliśmy się nieznanemu kapralowi.

Na wieszaku wisiał płaszcz wojskowy i okrągła czapka z granatowym otokiem, ale była usztywniona, nie taka jak naszych milicjantów i miała wojskowego orzełka. A więc KBW. O Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego słyszeliśmy już coś niecoś. Wiedzieliśmy, że są to specjalne oddziały wojskowe, ale podobnie jak milicja i Urząd Bezpieczeństwa podległe Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego a nie MON. Głównym zadaniem Korpusu jest walka z resztkami wrogiego podziemia, bandami UPA, NSZ i WIN.

Na wschodnich rejonach kraju wciąż jeszcze leje się krew i giną ludzie.

Kapral zapalił papierosa, przyjrzał się nam taksującym wzrokiem i zaczął mówić. Nie był to zwykły wykład polityczny czy propagandowy. Kapral po prostu opowiadał o sobie, o kolegach i oddziale, w którym służył. Opowiadał o KBW, jego trudnej i niebezpiecznej służbie. O konieczności likwidacji wroga podziemnego. Niczego nie upiększał, niczego nie łagodził. Mówił ostrym, rubasznym głosem przeplatany często i gęsto wiązkami żołnierskich przekleństw.

Dowiedzieliśmy się, że kapral, nieco tylko od nas starszy, dawno już powinien być w cywilu. Służbę rozpoczął jeszcze pod Kołobrzegiem w 4. Dywizji im. Kilińskiego, która zdobyła to miasto. Potem otarła się o Berlin i kiedy umilkły już działa wojny, razem z wszystkimi cieszył się na rychły powrót do rodzinnej wsi pod Kielcami. Niestety. Wtedy zaczęło się tamto na wschodzie. Transporty wojska wprost z frontu popłynęły w rzeszowskie, lubelskie i białostockie. Wyczyszczoną po salwach zwycięstwa w Berlinie broń, trzeba było znów zakopcić. Znow zahuczały strzały, padli zabici i ranni.

Z jego dywizji i kilku mniejszych oddziałów utworzono Wojska Bezpieczeństwa Wewnętrznego, przekształcone w 1946 w KBW. Kapral był z tymi, którzy mścili śmierć generała Świerczewskiego, poległego rok temu pod Baligrodem. Brał udział w wysiedlaniu ludności łemkowskiej z tamtych terenów. Pamiętam jak w roku ubiegłym przyjechali do nas ci ludzie. Zaludniono nimi puste domostwa okolicznych wiosek. Dużo zamieszkało w Szronowie. Łemkowie byli jakby spłoszeni. Trzymali się na uboczu, stronili od nas...

Kilka osób pracowało w PGR i w roszarni. Pamiętam jedną, taką śliczną dziewczynę. Obaj z Felkiem wzdychaliśmy do niej skrycie. Pracowała z nami w PGR. Łemkowie nigdy nie wspominali o swojej przeszłości ani o przyczynach, dla których musieli opuścić Bieszczady. Teraz kapral mówił o nich. Opowiadał jak uciekali z płonących wsi, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Banderowcy mordowali ich bez skrupułów za odmowę współpracy, a nasze wojska karały i wysiedlały za udzielanie takiej pomocy. Byli między młotem a kowadłem. Kapral mówił długo. Roztaczał przed nami obrazy bitew i pościgów, zasadzek. Wielodniowe marsze przez góry i lasy, bez łyżki gotowanej strawy, chłód przenikający przez stare, dziurawe mundury i rozklekotane buty, których podeszwy zdarły się jeszcze na niemieckiej ziemi. Warunki gorsze niż na froncie. Podkreślał to kilkakrotnie.

Po tych wszystkich okropnościach odważył się wyjawić nam cel tego spotkania. Niektórzy z nas pójdą w tym roku do wojska z poboru. Od nas zależy czy oni, stare frontowe wygi wrócą wreszcie do swoich domów? Może ktoś z nas, stojąc przed komisją poborową wyrazi chęć służby w KBW? Do wojska przyjmuje się też ochotników, którzy ukończyli 18 lat życia, ale ci, poniżej 21 lat muszą mieć pisemną zgodę rodziców.

Już dziwnie długo trwa to milczenie. Jest jakieś ciężkie, wprost przerażające. Kto je przerwie?

Boże, przecież to jest to, czego od dawna szukam! Tego właśnie szukałem wstępując do „Istrabutielncho batalionu” w Stanisławowie!

Bandy, leśne biwaki, zasadzki, pościgi. Czy pociągała mnie tylko sama romantyka walki? Przecież to nie jest legia cudzoziemska!

Kapral zapalił papierosa nie patrząc na nas.

Zgłosiłem się pierwszy...

Za mną podnieśli ręce Tadzik, Felek z roszarni, Czesiek „czarny” i Kazik, który jako jedyny był w tym roku poborowym. Pozostali to ochotnicy.

Mama po długim wahaniu zgodziła się. Podpisując zgodę tylko westchnęła „Może zostaniesz oficerem? Jesteś zdolny”.

Jeszcze miesiąc...

W połowie maja przyszło wezwanie na komisję poborową. Całą czwórką pomaszzerowaliśmy do Głogowa. 22 kilometry tam i z powrotem. Lekarze osłuchali nas, opukali.

„Zdolny do służby liniowej” – brzmiała diagnoza.

Karty powołania opiewały na 22 czerwca 1948 roku. Dzień wybuchu wojny polsko-radzieckiej przed ośmiu laty...

Czy to coś znaczy? Jakaś wróżba? Nie było żadnej cyganki pod ręką... Klamka zapadła...

A więc jeszcze miesiąc. Powoli „likwiduję” swoje sprawy w Polkowicach. Likwidacja – dosłowna. Trzeba było usunąć z domu cały ten arsenał min, granatów i amunicji. Trzeba było też coś zrobić z bronią i całym wojennym sprzętem, dla mnie bezcennym, a dla rodziny niebezpiecznym i zupełnie bezużytecznym rupieciem. Głośno żegnałem Polkowice... Jeszcze raz ożyły „nasze” z Felkiem pola pod Szronowem. Nawet już nie pola a mały lasek, do którego nie dotarło jeszcze normalne, pokojowe życie. Pola, z których usunięto wraki wojennej potęgi, zaorane i obsiane znów służyły ludziom jak polom przystało, ile lasek był jeszcze „nasz”.

Wysadziliśmy z Felkiemminy i pociski z pasją i pośpiechem cofającej się armii. Nic nie mogło pozostać. Musieliśmy zniszczyć całą naszą młodzieńczo-awanturniczą przeszłość, „Naszą”, bo Felek beze mnie był już tylko połową nas.

Broni postanowiliśmy nie niszczyć. Z dawnego arsenału pozostały nam lekki, szybkostrzelny karabin maszynowy z bębniami amunicji, ucięty karabin mauzer

oraz pistolet parabellum. Pistolet, okręcony w szmaty i zatopiony w puszcze z oliwą, ukryliśmy na strychu między podłogą a stropem. Większe sztuki trzeba było ukryć gdzieś indziej.

Rodzice Felka uprawiali dużą działkę w pobliżu szosy do Głogowa. Szło się do niej równoległe do drogi około kilometra.



Zdjęcie wykonano 1 maja 1948 roku po pochodzie pierwszomajowym na schodach przed posterunkiem Milicji Obywatelskiej przy ul. Bieruta (obecnie Targowa).

Zaznaczony Zbigniew Rajche.

Pewnego wieczoru wybrało się tam dwóch „konspiratorów”. Całą broń rozebraną na części, owiniętą w naoliwione szmaty złożyliśmy w dużej, metalowej skrzynce po amunicji. Ładunek załadowaliśmy na rower i w drogę. Rower prowadził Felek, ja uzbrojony w łopatę ubezpieczałem go kilka metrów z przodu. W upatrzonym miejscu na działce wykopaliśmy chyba metrowej głębokości dół. Do skrzynki nalaliśmy jeszcze kilka litrów oliwy i zakopaliśmy. Miejsce to, dokładnie rozplanowane nie mogło budzić niczych podejrzeń, nawet samych gospodarzy działki. Potem sporządziliśmy dwa egzemplarze bardzo dokładnego planu „grobu” naszych młodzieńczych snów i fantazji. Symbole na planie zrozumiałe były tylko dla nas. Nikt nie potrafiłby domyśleć się, co oznaczają te wszystkie cyferki, krzyżyki i kółeczka, tym bardziej, że plan nie był zupełnie zorientowany w terenie. Tylko my wiedzieliśmy, jakiego terenu dotyczyć.

Szyfr był tak doskonały, że w kilka dni później sami nie potrafiliśmy go odczytać. Pewnie nikt, nigdy nie trafi na to miejsce, chyba, że zupełnie przypadkowo...

Jak się później okazało, mój pokój i przyległe komórki niezupełnie oczyściliśmy ze śmiercionośnych ładunków. Kiedy w rok później nowa nauczycielka zajęła mój pokój, zaczęła w całkiem nieoczekiwanych miejscach znajdować przedmioty na widok, których włosy stawały jej dęba. Dopiero wezwany przez mamę Felek zajął się ostatecznym „rozbrajaniem” terenu. Zza wałka otomany, którą młoda panienska przejęła ode mnie wyciągnął paczkę zapalników do granatów ręcznych, z czeluści pieca wygrzebał jeszcze garść naboju karabinowych a w skrytkach biurka jak się okazało, nie wiadomo dlaczego, zostało jeszcze kilka woreczków prochu strzelniczego.

Potem, jak mi opowiadano, sam musiał rozpalić w tym piecu prosząc przed tym domowników, aby udali się na spacer... I tak „zlikwidowałem” swoje sprawy w Polkowicach. Nie tylko tego, wybuchowego rodzaju. Rozliczyłem się z PGR, skąd przywiozłem worek deputowanego zboża. Odstawiłem go do piekarni rodziny Tadzia. Przez jakiś czas rodzina będzie miała darmowy chleb, którego ja już jadł nie będę...

Nie wiem, czego tak najbardziej mi żal? Rodziny, Felka, naszego „arsenału” i sobińskiego pobojuwiska czy po prostu Polkowic? Zżyłem się z tym wszystkim. Przeszło dwa lata żyłem tu, pracowałem, rozrabiałem a nawet kochałem.

To bardzo dużo jak na dwa lata życia.

Tu rodziły się we mnie nowe idee, korygowało je życie i rodziły się nowe. Marzenia też się konfrontowały z rzeczywistością i urealniały.

Poznałem dużo miejsc, z których na zawsze związały się jakieś wspomnienia. Ale przede wszystkim poznałem wspaniałych ludzi. Co za charaktery! Obyczaje, a jakie losy. Nawet obdarzony wielką fantazją pisarz nie potrafiłby opisać ich przeżyć i doznań. Że też człowiek musi, przez całe życie musi z kimś lub czymś się związać. Przecież nie tak dawno pożegnałem Stanisławów.

Tęsknota po nim, choć przytępiona doznaniem w Polkowicach jest wciąż żywa. Teraz Polkowice...

Bardzo przywiązuję się do ludzi, a może jeszcze bardziej do miejsc. Noszę w sobie chyba mieszaninę cech psa i kota. Jeden przywiązuje się do ludzi, drugi do miejsca... Na dwa dni przed wyjazdem obeszlśmy z Felkiem wszystkie „nasze” miejsca. Postaliśmy chwilę przy stawach przy dawnej cegielni, potem lasami, przez szosę lubińską przeszliśmy naszym, najczęstszym szlakiem aż do szronowskich pól. W milczeniu pożegnałem porośłą trawę i zapadłe już mogiły żołnierzy niemieckich. Wyszliśmy na skraj lasu. Tuż obok pegeerowski traktor przeorywał ostatnie skrawki ugoru na dawnym pobojuwisku. Lemiesz pługą coraz to zgrzytał o jakieś żelastwo i wywlekał je na powierzchnię. Pomocnik traktorzysty sypiąc przekleństwami odrzucał je na bok. Spojrzeliśmy z Felkiem po sobie, tak jakoś smutno i żałośnie. W tej chwili chyba nienawidziliśmy tego traktorzysty, zresztą naszego kolegi, wszystkiego, co zacierało ślady naszej młodości, fantazji i gorących snów.

Nagle staliśmy się bardzo dorośli. Poczułem jakby spadający na barki ciężar, jakiś niepokój, lęk. Nagle zrozumiałem, że teraz już nie będzie beztroski, szalonych, nierealnych marzeń. Pozostaną tylko wspomnienia. Odtąd zawsze już będzie tylko obowiązek, jakaś odpowiedzialność przed kimś lub przed czymś, no przed samym sobą. Przestałem być dzieckiem. Kto wie, może nie jestem już nawet młodzieńcem? Jak kaže tradycja, ostatniego wieczoru zdrowo popiliśmy całą czwórka, czego dotąd nigdy nie robiłem. Ale jak kaže tradycja...

W tym dniu kino objazdowe dawało właśnie wieczorem film radziecki „Piętnastoletni kapitan” Juliusza Verne. Tego dnia po raz pierwszy w życiu byłem solidnie pijany. Opowiadano mi nazajutrz, że w kinie bardzo „po męsku” przystawiałem się do Olgi, dziewczyny, z którą pracowałem kiedyś w roszarni, a która nigdy mnie nie pociągała...

Ranek zapowiadał pogodny i bezwietrzny dzień.

Całą czwórka siedzieliśmy osowiali i cóż, trzeba to przyznać skacowani, na schodach ratusza. Furmanka, która ma nas odwieźć do Głogowa, jeszcze nie przybyła. Każdy dźwiga ciężką walizę z jadłem i przedmiotami, które już jutro lub pojutrze okażą się zupełnie nieprzydatnym, zawadzającym balastem w życiu żołnierza.

Najmniejszy bagaż mam ja, bo nie mam go wcale. Kanapki na drogę rozmieściłem po kieszeniach mego munduru junaka PRW. Mam pod nim niebieską koszulę OMTUR. Moja najlepsza odzież. Tadzik próbuje śpiewać. Nie wychodzi...

Zajeżdża wreszcie wymoszczona słomą furmanka. Woźnica nazywa się brzydko Burdel, ale to poczciwy bukowiniak. Ogarnia mnie podniecenie. W grupie odprowadzających odzywają się szloch. Matka Tadzia zanosi się głośnym płaczem. Łzy widzę też w oczach mamy i Zosi.



Wszystkim robi się nieswojo, ale nadrabiamy miną, kryjąc wzruszenie.

Żeby można było cofnąć czas...

Ostatnie pocałunki. Porady bliskich.

Burdel zacina konia.

Jeszcze przez chwilę widzę koło piekarni grupkę, nad którą wyraźnie góruje wysmukła sylwetka Felka.

Koła głucho dudnią po bruku Polkowic. Rynek. Ulica Głogowska. Na lewo charakterystyczny, od wielu już lat bezskrzydły wiatrak typu holenderskiego, pamiątka po osadnikach tego narodu. Na prawo już za symbolicznymi rogatkami miasta działki, na których gdzieś tam leży zakopany nasz „skarb”. Nigdy już go nie znajdziemy...



Czuję, że teraz odchodzi ode mnie naprawdę coś bezpowrotnie. To, czego nigdy już nie będzie, co się nie powtórzy, a co było naprawdę piękne. Właśnie piękne! Prawie każdy rozdział tej opowieści kończyłem takimi zdaniami: To były piękne czasy! To były piękne lata! To były piękne przeżycia! Wszystko. Wszystko było piękne! Taki kawałek życia.

Życie człowieka pocięte jest na takie właśnie paski, piękne, radosne, szczęśliwe, ładne, dające tylko nadzieję, ale też całkiem szare a nawet czarne.

Takim jasnym, nawet bardzo jasnym i pięknym był dla mnie ten pasek polkowicki. Myślę, że jaśniejszego już w moim życiu nie było...

Taka właśnie jest ta opowieść polkowicka.



Epilog

W ileś lat później, podczas jednego z pobytów w Polkowicach, gdzie przecież miałem rodzinę, postanowiliśmy z Felkiem odwiedzić „nasz las” i „nasze szronowskie pola” od lat już zwane sobińskimi.

Zaprosiliśmy na tę wycieczkę pełną wdzięków narzeczoną Felka. Felek, bowiem po latach zwycięstw wśród polkowickich dziewcząt, postanowił się ustatkować. Na tę jedyną i naprawdę już ostatnią wybrał właśnie Ireczkę z Lubina.

Idziemy więc przez te „nasze pola” do „naszego lasku”. Odżywają wspomnienia. Widzę te pola wtedy. Dla nas z Felkiem każde z tych miejsc ma swoją historię. Rozumiemy się bez słów. „Pamiętasz, tu?”, „A tamto pamiętasz?”. Wspomnienia napływają jak cofana taśma filmowa. Po wysokich mchach i trawach, wśród dużych drzew leszczyny, których wtedy nie było, kroczymy ostrożnie, jakby wciąż były tu jeszcze miny...

Mamy ze sobą pół litra wódki, a raczej likieru, no i jest też dziewczyna, której nie możemy karmić tylko wspomnieniami, zupełnie dla niej niezrozumiałymi. Felek proponuje wypić tę słodką wódkę na skraju lasku, koło grobów niemieckich żołnierzy.

I znów „Pamiętasz Zbyszek?”, „Pamiętam...”

Dziś mogił już nie ma. Pod grubym poszyciem lasu można się tylko domyśleć, jeżeli się wie gdzie były, bardziej niż dostrzec te małe pagórki.

Oni tu jednak zostali...

Siadamy na skraju tego zapomnianego przez wszystkich cmentarzyska. Jesteśmy z Felkiem chyba ostatnimi z ludzi, którzy te groby pamiętają.

Felek z namaszczeniem otwiera butelkę. Pierwsza, jako kobieta pociąga Irka.

Las cicho szumi tę samą co przed laty melodię.

Zachodzące nad polami słońce, ukośnymi, czerwonymi promieniami wyłaca gałęzie leszczyny. Jest spokojnie i cicho. Jakby dostojnie. Leśne mchy i trawy nagrzane dziennym ciepłem parują tą jedyną wonią miejsc rzadko uczęszczanych przez ludzi. Podnoszę podaną mi przez Irkę butelkę i nagłym błyskiem myśli mówię – Wiecie, co? Piję za stypę tych pod tymi mogiłami.

Przecież oni nie mieli stypy, prawda? – Pociągam ognistego płynu i nagle uświadamiam sobie, że właściwie piję nie tylko „Ich” stypę. To jest ostatnie pożegnanie tego wszystkiego, co było wtedy i już nie wróci nigdy.

Tamte czasy można żegnać tylko w tym miejscu, na skraju tego lasku, koło tych mogił.

To też mogiły naszej z Felkiem przeszłości...



Powroty

Zamgloną ścieżką naszych marzeń
Pójdźmy raz jeszcze Przyjacielu
Gdzie pośród ech przebrzmiałych wzruszeń
Znajdziemy ślady własnych marzeń.

Mijamy lasek, łączkę, białe brzozy
Szum gaju
Którego wtedy nie było
Czy widzisz istniejący już tylko w naszych oczach staw a za mostkiem samolot?
Ten, który nigdy już nie uniósł skrzydeł?
Pamiętasz te niby: fatamorganę na szronowskich polach?
Zastygła, pancerne kolosy, wracają po bojach do domu, którego tu już nie było?

Te obrazy jak wieczne, nagrobne fotografie
Pozostaną po kres naszych dni
Młodość i las
Fantazja i sny
Krzyczą dziś falami wspomnień,
Gdy tak idziemy Przyjacielu
A pod nogami cicho chrzęszczą
Spróchniałe kości wojowników.

Zielona Góra 10 września 1984 r.

Na pamiątkę opisanego w Epilogu spotkania z Felkiem i jego obecną żoną Ireczką
w dniu 16 sierpnia 1961 r.







Zbigniew Rajche, urodził się w 1929 r. w Stanisławowie (obecnie Iwano-Frankowsk, na Ukrainie). Jego rodzice byli nauczycielami wiejskimi na Suwalszczyźnie. Po wybuchu II wojny światowej ojciec został aresztowany przez Niemców (zm. w 1941 r. w obozie w Oranienburgu), matka wraz z dziećmi zamieszkała w Stanisławowie. Tam właśnie Zbigniew Rajche był świadkiem masowych mordów ludności żydowskiej, które miały miejsce na podmiejskim cmentarzu.

Dramatyczne wspomnienia tamtych dni spisał później w pamiętnikach, a w 2011 r. ukazały się one w książce *Moja Canossa*. Po wojnie, w ramach akcji repatriacyjnej, cała rodzina przesiedlona została do Polkowic. W 1948 r. Zbigniew Rajche rozpoczął służbę wojskową, podczas której ukończył podoficerską szkołę łączności i ożenił się. W latach pięćdziesiątych osiedlił się w Zielonej Górze, gdzie rozpoczął pracę w MSW jako technik telekomunikacji. Jednak znacznie ważniejsze, niż życie zawodowe były dla niego jego pasje. Pisał wspomnienia, uprawiał twórczość poetycką i fotografował. Temu ostatniemu hobby poświęcił się bez reszty.

Wieloletni członek Lubuskiego Towarzystwa Fotograficznego, które w 1988 r. wydało jego książkę pt. *Rozmowa fotografią*. Był członkiem Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów oraz słuchaczem Uniwersytetu Trzeciego Wieku, od jego początku. W roku 2009 wydał dwa tomiki wspomnień: *Czerwona sukienka i Opowieści z innego świata*, a w roku 2011 – zbiór opowiadań i wspomnień pt. *Moja Canossa* oraz tomik wierszy *Ogrodnik świata*. W roku 2013 tomik wierszy *Droga do NIC*, a w roku 2014 opowiadania i wspomnienia *Kamienie milowe*.

ISBN 978-83-958039-0-1

Biblioteka Towarzystwa Ziemi Polkowickiej, zeszyt 18